BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY

JAKA PRACA TAKA PŁACA

przełożył

Julian Topór

Druga edycya

przejrzana i poprawiona

WE LWOWIE

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta

A. PRZYSZLAK LWÓW.

686.

FR. HOFFMAN.

JAKA PRACA, TAKA PŁACA.

Opowiadanie dla młodych moich przyjaciół.

Przełożył

Ksiądz Julian Topor.

Wydanie drugie.

Z czterema rycinami.

LWÓW.
Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.
1905.

Printed in Poland

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/jakapracatakapla0000frho

W lesie.

Gorący dzień letni miał się ku schyłkowi. Słońce skłaniając się zwolna z pogodnego, ciemno błękitnego nieba ku zachodowi, oblewało zwaliska starego klasztoru rumianym blaskiem. Cisza i spokój panowały dokoła, gdyż zwalisko leżało odosobnione zdala od zamieszkałych miejscowości w miłej, lecz tak ukrytej dolinie gór kruszcowych, iż rzadko kiedy, ludzka stopa dotknęła tej okolicy. Nawet obcy, którzy zwykle podczas pięknej letniej pory, góry kruszcowe we wszystkich kierunkach przebiegali, czasem tylko docierali do tego miejsca. Nieznaczne resztki dawnej wspaniałości klasztoru, za mało wywierały na podróżujących uroku, aby ich miały zwabić do zboczenia ze zwykłej drogi. W ogóle mało co o tem wiedziano w świecie, że istnieją

tu kawałki starych murów z gotyckimi łukami u okien. Z pobliskiej nawet, o milę tylko ztąd odległej wioski, nie było ubitej ścieżki i dlatego też, przeważna część jej mieszkańców nieznała wcale zwaliska. Kto je chciał odwiedzić, musiał las przechodzić w poprzek, a to się nie każdemu udawało.

Jednak daleko trzebaby było szukać w całej okolicy miejsca ukrytego, a tak powabnego, jak ta samotna, cicha dolina. Zielone lesiste pagórki otaczały ją dokoła, i tylko od południowej strony znajdował się wązki przesmyk, którędy srebrzysta wstęga małego strumyka wiła się ku odległej równinie. W samym prawie środku doliny, połyskiwał przejrzysty stawek, okolony pięknemi brzozami i osikami, a tuż nad jego brzegiem sterczały gruzy klasztoru i odbijały się w szmaragdowej toni. Dookoła otaczał go las. Szerokie wierzchołki wspaniałych dębów i buków ocieniały całą dolinę, i tylko bezpośrednio tuż obok gruzów, snuła się niska krzewina okrywająca się na wiosnę błękitnem, różowem i białem kwieciem. Były to prawdopodobnie resztki dawnego klasztornego ogrodu, bo jakżeż inaczej, mogłyby się były dostać w sam środek lasu ten krzaczysty bez włoski, ta kalina, jaśmin

i pnąca się róża, która z wiecznie zielonym bluszczem, wspinała się po zwalisku, aż do smukłych słupów u okiennych i jakby pięknym płaszczem osłaniała stare mury. Z samych nawet murów, powiewały gibkiemi gałązkami brzozy, rozmaite krzaki wyglądały przez szczeliny i wyłomy na zewnątrz.

Nie brakło tu też życia i ruchu zupełnie, gdyż po bezpiecznych miejscach pod stropami i pod przyczołkami słupów, jako też w gęstej zarośli, gnieździły się małe leśne ptaszęta i wesoło śpiewając, skakały po gałązkach. Niekiedy wyszedł także z gęstwiny poważny jeleń lub smukła sarna do stawu, żeby jego zimną wodą ugasić pragnienie. Czasem znowu lis przemknął się przez gruzy i rzucał chciwy wzrok na małe ptaszęta, które atoli dobrze znały chytrego rabusia, ażeby mu się zbytnio na własną szkodę, do siebie zbliżyć pozwoliły; to też uderzywszy lekko skrzydełkami odlatywały świegocąc. Na drugim brzegu stawu, naprzeciw klasztoru, rosło gęsto wysokie sitowie. Na płytszych zaś miejscach, można było nieraz widzieć czaplę, jak zadumana, całemi godzinami spokojnie stojąc wpatrywsła się w wodę dopóty, aż jakaś nie przezorna rybka przybliżyła się do nie; wtedy

w okamgnieniu wyciągała głowę i długą szyję, kończasty dziób zanurzała głęboko w wodę i wydobywała trzepocącą się rybkę, która nienasyconemu ptakowi musiała służyć za smaczny kąsek.

Dolina ze zwaliskiem, stawem i szmerzącym strumykiem przedstawiały się dziś przy cichym, letnim wieczorze jak zwykle, z tą tylko różnicą, że dziś to wszystko oświetlały jaskrawe słoneczne promienie, obsypując lśniącymi dyamentami poruszaną wieczornym wietrzykiem powierzchnię wody. Czapla stała na swojem miejscu, ptaszki szczebiotały na dobranoc, lis przesuwał z cicha po gruzach, a wysoko nad doliną, kołysał się w powietrzu, na szerokich potężnych skrzydłach jastrząb i zakreślając obszerne, foremne koła, odzywał się kiedy, niekiedy przeraźliwie, zapewne w tym celu, żeby przywołać oddaloną samicę i razem z nią, odszukać w leśnej gęstwinie rodzinne gniazdo. Nagle jednakże, wzbił się wysoko w powietrze a równocześnie, rozległo się w dolinie głośne wołanie z pobliskiego wzgórza, pochodzące ze zdrowej, młodzieńczej piersi.

Ludwiku! Ludwiku! gdzie jesteś?

Jak na to wołanie znikł jastrząb, tak też wyszła z wody i przestrasona czapla, rozwinęła szerokie skrzydła, wzniosła się kołując, wysoko w powietrzu i odleciała po nad las. Lis smyknął kłusem przez gęste drobne zarośle do swojej kryjówki i tylko małe ptaszęta nie przerywały swego szczebiotania, jak gdyby ufały, że nie mają przyczyny obawiać się człowieka

Ludwiku! Ludwiku! ozwało się znowu w lesie.

Jakiś czas trwała cisza, lecz wkrótce odpowiedział z drugiej strony doliny inny głos, równie rzeźwy i czysty, jak i pierwszy.

Ho, ho, Karolu, ja jestem tu! Mam pełną czapkę pięknych borówek! Obaczymy, kto z nas pierwej zbiegnie na dół do starego pustkowia.

Idę, odezwał się głos pierwszy. Uzbierałem wybornych jeżyn. Ho, ho!

Wesoły okrzyk rozległ się w wieczornej ciszy i odbił się dźwięcznym odgłosem, poczem, zupełny spokój zapanował w dolinie. W kilka chwil jednak, dał się w krzakach słyszeć szelest suchego liścia leżącego na ziemi, słychać było zbliżające się kroki i prawie równocześnie, zjawiło się u pochyłego wchodu do zwaliska, dwóch ubogo wprawdzie ubranych, ale pięknych chłopców. Lat mogli mieć około czternastu; od pręd-

kiego biegu, zarumieniły im się twarze, a skoro się ochłodzili, podali sobie ręce uśmiechając się.

Więc ty tu jesteś Ludwiku!

Więc ty tu jesteś Karolu! — zawołali obaj równocześnie.

To dobrze, dodał Karol. Kiedyś mi na moje piewrsze wołanie nie dawał odpowiedzi, myślałem, że już dziś nieprzyjdziesz wcale.

O, ja cię dobrze słyszałem, odpowiedział Ludwik, lecz nie mogłem ci natychmiast odpowiedzieć, ponieważ właśnie co podszedłem był gila, któryby mi był niezawodnie umknął, gdybym się tylko był odezwał, na twoje wołanie już się zaczął był płoszyć.

Aleś go schwytał: — zapytał żywo Karol.

Rozumie się! Po chwilce trzepotał się już w sidle, a teraz siedzi tu w mojej chusteczce! odpowiedział Ludwik uradowany. — Przybędzie znowu kilka groszy, jeśli mię ojciec zechce wziąć ze sobą, jadąc do miasta z jagodami. Wiem już nawet, kto tego ptaka kupi. Chcesz go widzieć Karolu! Patrz, tu! Ładna sztuczka: jakie piękne czerwone piersi, jakie czarne głowa i skrzydła.

Odchylił ostrożnie jeden koniec chusteczki i pozwolił ciekawemu Karolowi zaglądnąć do

środka. Siedział tam ptaszek całkiem spokojnie i tylko trochę przerażony, spoglądał swojemi czarnemi oczkami na błękitne oczy Karola.

A! piękny! — zawołał Karol, napatrzywszy się już na gila. Cztery groszy będzie z pewnością za niego. Chciałbym być taki zręczny w łowieniu ptaszków, jak ty.

Ej dziwaku, — rzekł Ludwik uśmiechając się; przecież jeden nie może umieć wszystkiego!

Jabym znowu chciał umieć rzeźbić z drzewa tak piękne rzeczy, jak ty, a wtedy pewnie więcejbym zarobił pieniędzy, aniżeli sidłem i wabikiem. Ty masz zawsze pewne twoje sarny, jelenie, zające, dziki i ptaki, chociaż przy tem możesz całkiem spokojnie siedzieć w izbie przy ciepłym piecu; ale ja! O, ja muszę nieraz całymi dniami, czy to pogoda czy słota, czatować na jednego ptaka i nareszcie, co tylko już go mam włożyć do kieszeni, a on mi się tuż z pod ręki wyrwie i zamiast niego mam tylko zmartwienie i nową pracę z wyszukiwaniem nowego. Ty się przeto możesz uważać za szczęśliwego odemnie — i jeżeli kto komu, to ja bym powinien tobie, a nie ty mnie zazdrościć! Czy nie tak, mój Karolku?

Tak, tak, Ludwiku, to ci już muszę przyznać! — odrzekł otwarcie Karol.

A potem znowu, kto umie tak pięknie spiewać, jak ty i grać na cytrze, mówił Ludwik dalej! Tego tylko nie mogę wcale pojąć, jak tyś się tego prawie tak sam ze siebie nauczył, bo stary grajek Jakób, który cię trochę na flecie grać poduczył, sam się mało na cytrze rozumiał, a ty po czterych tygodniach lepiej już umiałeś, od niego.

Tak jest — rzekł szczerze Karol — pewnie to tak być musi, bo o tem upewniał mię także stary Jakób, który też jeszcze przed śmiercią darował mnie swoją cytrę, tobie flet, a Jerzemu skrzypce. Ale wiesz, że Jerzy jest także zręczny: i ma dobry słuch, jak mówił stary Jakób, słysząc jego gwizdanie na lipowym liściu. Pewnie tak samo, musiał się nauczyć grać na skrzypcach, jak ty na flecie lub ja na cytrze. Chciałbym żeby jeszcze żył stary Jakób. Czy pamiętasz, jakeśmy wesoło w jego małym domku wygrywali piękne piosnki »Jutro żegnam wasze strony,« »Jutrzenko moja jutrzenko,« »W chłodnym dole« i innych mnóstwo, których początku już nie pomnę. A, to było bardzo miło!

Gdyby tylko przy tem Jerzego nie było, odrzekł Ludwik. Zresztą, było to pięknie. Ale ten często mi napsuł krwi swoją zarozumiałością a przy tem, był także fałszywy. Wiesz przecież, jak na nas wymyślał przed starym Jakóbem za to, żeśmy obydwa więcej razem ze sobą trzymali, niżeli z nim.

Ale stary Jakób tego nie słuchał wcale, odrzekł Karol szybko, więc mu się to na nic nie przydało.

Ale ja go i bez tego nie mogę jakoś znieść, rzekł Ludwik. Mimo, że pięknie gra na skrypcach, jest zawsze niepoczciwym i takim pono już zostanie. Od śmierci swego ojca, który umarł, pamiętasz, w kilka tygodni po Jakóbie, ani jednego pręcika jeszcze nie uplótł, a jego matka zawsze się na niego żali. Puścił się na złodzieja i włóczęgę!

A przecież ma zawsze grosz w kieszeni! rzekł zamyślony Karol. My, gdybyśmy nawet podwoili naszą pilność w zbieraniu jagód, rzeźbieniu i łowieniu ptaków, jeszczeby nas to nie wzbogaciło, a Jerzy zawsze dzwoni srebrem w kieszeni, mimo to, że nic nie robi. To mi zagadka nielada.

Dla mnie to nie jest wcale zagadką! odparł lekceważąco Ludwik. Od dawna już znam jego sprawki i gdybym się chciał bawić w szpiega, i słówko tylko szepnął leśniczemu, nie wyszłoby to Jerzemu na sucho.

Ej żartujesz! zawołał zdziwiony Karol. Cóż ty wiesz o nim?

No, tobie mogę to śmiało powiedzieć, odrzekł Ludwik, bo plotkarzem nie jesteś; ale pamiętaj, żebyś o tem nie mowił nikomu, ani nawet leśniczemu, ponieważ nie chciałbym Jerzego unieszczęśliwić, ze względu na jego staruszkę matkę: ale to, o czem jestem przekonany, mówię; Jerzy kradnie zwierzynę!

Karol przerażony, cofnął się w tył i wpatrzył się osłupiałym wzrokiem w swego towarza. Kradnie zwierzynę? Ależ to byś nie może! Przecież on niema strzefby! Nie, ja temu nie wierzę, Ludwiku! To być nie może!

A ja ci mówię Karolu, że tak jest; Jerzy jest złodziejem zwierzyny! powtórzył Ludwik z przyciskiem. Tyś tego nie zauważał tak, jak ja, bo o wiele rzadziej bywasz w lesie. Przez dzień, musisz być przy twoim ojcu, żeby mu pomagać przy składaniu drzewa w stosy i paleniu węgla; czasem zbierasz na samej krawędzi lasu

poziomki, borówki lub kamionki, które potem sprzedajesz w mieście, a wieczorem zaglądniesz niekiedy i to nie dalej, jak tu do tego pustkowia. Nic więc dziwnego, że nie możesz wiedzieć, co się głębiej w lesie dzieje. Ja przeciwnie, uganiając po tej puszczy za ziębą, kosem, lub drozdem, miałem sposobność widzieć i na własne oczy przekonać się, jakim sposobem Jerzy przychodzi do pieniędzy. O, on jest bardzo przebiegły. Śledzi zające, młode sarny, zkąd wychodzą, gdzie idą szukać pożywienia, którędy powracają, i na wszystkich tych miejscach stawia łapki tak zręcznie, że mu się rzadko kiedy połów nie uda.

Czy to być może! Ktoby był o tem pomyślał!

Zapewne! Ale nie na tem koniec Jeszcze tej jesieni, więcej niż dziesięć razy podszedłem go, jak leśniczemu z sideł zabierał kwiczoły, a był przytem tak przemyślny, że włosienne sidełka zawsze napowrót uporządkował, a niekiedy nawet kilka ptaków zostawił, żeby się leśniczy niemógł domyśleć kradzieży lub też, żeby w złem ustawieniu sidła przyczyny małego połowu upatrywał. I to jeszcze nie wszystko. Jerzy nie szczędzi też ryb i raków w strumykach

i stawach. Ty znasz Karolu ten strumyk z tamtej strony zrębu? Otóż tam, łowi on najpiękniejsze pstrągi, a nie rzadko zagląda też i do tego stawu przy klasztorze i rzuca coś takiego w wodę, co ryby chciwie pożerają, poczem wkrótce pływają po wierzchu wody, jak odurzone, że je Jerzy ręką chwytać może. Raz przy księżycu zastałem go właśnie przy tem dziele, i skoro zawołałem: „Słuchaj, Jerzy! co ty tu robisz?“ znikł w okamgnieniu, jak kamień w wodzie, a w kilka dni później wypierał się przedemną na wszystko w świecie, że to nie on był tym, którego wtedy nad stawem widziałem O, to chłopak bity, na wszystkie strony, przed którym się trzeba mieć na baczności.

A możeś ty się omylił Ludwiku? zapytał z rozwagą Karol. Blask księżyca nieraz łudzi. Jak często byliśmy nawet przekonani, że z tamtej strony brzegu stoi biała dama, kiedyśmy wieczorem na zwalisku siedząc, przez otwory okienne na staw spoglądali, a przecież każdą razą, skorośmy się tylko lepiej przypatrzyli, nie widzieliśmy nic więcej, prócz mgły, która się ponad drzewa jak lekka chmurka wznosiła.

To prawda! Ale wtedy nie była to mgła, lecz sam Jerzy, bom go widział tak wyraźnie,

jak ciebie tu, teraz przed sobą, odrzekł Ludwik. Ale pocóż trwonimy piękne wieczorne chwile na pogadance o Jerzym? Dajmy mu pokój. Co on nas obchodzi!

Słusznie, wolimy raczej zagrać troszkę, dodał Karol. Wszak nigdzie piękniej głos się nie odbija, jak tu przy tem starem zwalisku zwłaszcza, jeżeli powietrze jest tak spokojne, jak dzisiaj.

Tak, tak, bardzo miło rozchodzi się głos po nad tym stawem, a jeszcze milej spiew Karolu, rzekł Ludwik; ale pierwej, użyjmy sobie naszych jagód; potem raźniej nam pójdzie.

Karol nie miał nic przeciw temu do zarzucenia i obaj młodzieńcy, wynaleźli sobie urocze miejsce do siedzenia, skąd mogli jednym rzutem oka objąć całą dolinę z połyskującym się stawem. Miejsce to, musiało się zapewne niegdyś przed laty do najulubieńszych zaliczać u zakonników, którzy w klasztorze spokojnie żyli dopóty, dopóki ich wojna saska stąd nierozpędziła w różne strony. Dowodem tego był ciężki kamienny stół, który się tam jeszcze znajdował i kilka kamiennych ławek. Tu usiedli Karol z Ludwikiem, wysypali przepyszne jagody na kamienną płytę, wydobyli z kieszeni po

kawałku suchego razowego chleba i zajadali tak smacznie, jak gdyby siedzieli u królewskiego stołu i mieli przed sobą najwytworniejsze potrawy.

Od strony zachodu, błyszczało słońce po nad wierzchołkami pagórków i ostatnimi promieniami ozłacało jeszcze gruzy i postacie siedzących przed niemi chłopców. Staw leżał już w cieniu i lekka biała mgła rozpościerała się nad zwierciadłem wody, jak srebrzysta osłona. Po kilku minutach, skryło się też i słońce za wzgórza.

Zbliża się noc, wkrótce już zciemnieje, rzekł Karol, ukończywszy swoją skromną ucztę.

Nie będzie nam ciemno, gdyż za kwadrans wyjdzie z poza gór księżyc, odrzekł Ludwik. Cieszę się tem, bo nigdy nie przedstawia się to miejsce piękniej, jak kiedy księżyc z nieba oświetla dolinę, i w stawie się odzwierciedla. Wtedy, wygląda to wszystko tak uroczyście i tajemniczo, że się człowiekowi zdaje, iż jest w kościele.

Doprawdy, tego samego wrażenia i ja już doznałem, zwłaszcza wtedy, kiedym tu sam jeden siedział, odpowiedział Karol, W zwalisku coś szumi i szemrze, wierzchołki drzew sze-

leszczą i szepcą: strumyk mruczy i pluska, a wszystko to wydaje się, jakby osrebrzone światłem księżyca i mury i listki na drzewach i krzaczkach i ten staw, co jak duża, błyszcząca wygląda tarcza. Przesiadywałem tu nieraz godzinami, i marzyłem o wszystkiem, co mi tylko na myśl wpadło. Ale patrz, otóż i ten luby księżyc! Przez drzew wierzchołki występuje jego złota tarcza i uśmiecha się do nas tak wdzięcznie, jak gdyby słyszał, cośmy tu o nim mówili. Ach, jakżeż to pięknie, jak wspaniale z poza listków wyziera!

Wspaniale! rzekł Ludwik, i potem obaj siedząc w milczeniu, patrzyli na księżyc, który się coraz wyżej wznosił, a nareszcie, ukazawszy się nad wierzchołkami drzew, łagodnym swym blaskiem całą oblał dolinę.

Było tak, jak mówił Karol.

Jak jasne srebro, spływało światło księżyca na listki, na zwalisko i na staw, a wszystko dokoła szeptało, szeleściało i szemrało, jak gdyby wszystkie leśne głosy, chciały miły księżyc przywitać cichem i rzewnem; „Dobrywieczór.“

Teraz powstał Karol, wsunął się przez najbliższy otwór do wnętrza zwaliska i wnet powrócił z cytrą i fletem, który podał Ludwikowi.

Cytrę położył przed sobą na kamiennym stole, uderzył wprawną ręką po strunach i wydobył z nich kilka słodkich akordów, które jak duchy wionęły nad stawem. Potem spiewał wdzięcznym, czystym i pełnym głosem znaną, a przecież tak piękną piosnkę:

Księżyciu luby, co po błękicie
Spokojnie toczysz twe koło,
Obym na wzór twój przez moje życie
Mógł przejść tak skromnie, wesoło!"

Ludwik towarzyszył fletem, a cytra wtórzyła tak, że głos tej zgodnej muzyki rozlegał się po lesie i napełniał powietrze słodkim dźwiękiem.

Jeżeli jaki podróżny — opóźniwszy się tamtędy przechodził, mógłby był sądzić, że to się duchy zgromadziły około starego klasztoru i spiewają najulubieńsze swoje piosnki, tak miło i uroczo brzmiała ta muzyka wśród cichej, spokojnej i jakby z umysłu milczącej nocy.

Co to, to mi się podoba! Będę wam towarzyszyć zawołał nagle, skoro obaj chłopcy swój spiew skończyli, jakiś zuchwały głos z lasu. Bezpośrednio potem rozchyliły się gałęzie i jakiś trzeci chłopak, w jednym prawie wieku z Karolem i Ludwikiem wystąpił naprzód i z uśmie-

chem kłaniał się przerażonym grajkom. A to wy Karol i Ludwik! Właśnie tak sądziłem, usłyszawszy cytrę, flet i spiew. Pomyślałem sobie, że i ja tu być mogę i otóż jestem. Teraz sobie zagramy coś wesołego, jak n p. „Wstań już wstań“... lub coś podobnego. Zaczynaj Karolu! Listek przyniosłem ze sobą, więc będę ci towarzyszył!

Młody chłopiec, który się tak zuchwałym okazał i w tonie prawie rozkazującym do tamtych przemawiał, ani pomyślał o tem, że jest wcale nie pożądanym gościem; ale się mocno zawiódł gdyż i Ludwik spojrzał na niego niechętnie i Karolowi, nie szczególną przyjemność sprawiło jego przybycie.

Czego ty tu chcesz, Jerzy? zagadnął go Ludwik surowo. Myśmy na ciebie nie czekali; możesz się przeto ztąd wynosić tak prędko, jak prędko tu przyszedłeś, gdyż nam tylko przeszkadzasz.

O, tak rzeczy stoją! zawołał Jerzy podpierając bok ręką i wpatrując się w nich zuchwale i wyzywająco. Las jest wolny dla każdego: radbym ujrzeć tego, ktoby mi chciał bronić zagrać sobie tak, jak wy tu w tem starem pust-

kowiu! Jeżeli nie zechcecie mi towarzyszyć, będę grał sam!

Po tych słowach przyłożył listek do ust gwizdał na nim wesołą, lecz przeraźliwą melodyę. Tony wprawdzie brzmiały ostro i chropowato, ale zręczność, z jaką on je z tak pojedynczego narzędzia wydobywał, była istotnie godna podziwu.

Więc widzicie, że i ja coś umiem! rzekł Jerzy szyderczo, ukończywszy swój kawałeczek i jeżeli wam to tylko jaką przyjemność sprawia, mogę wam zagrać jeszcze dziesięć innych podobnych piosenek.

Ależ to nam najmniejszej nawet niesprawia przyjemności, odrzekł Ludwik hamując się. Nie chcemy z tobą nic mieć do czynienia ani Karol, ani ja! Więc zabieraj się ztąd precz albo cię...

No, albo cię... Cóż wy mi tu zrobicie? Bardzo jestem ciekawy! zadrwił Jerzy.

Albo cię przemocą ztąd wypędzimy! krzyknął Ludwik gwałtownie. Ty nie masz prawa nam przeszkadzać!

Ale mam prawo tu być i gwizdać sobie tak dobrze, jak i wy, odrzekł Jerzy zuchwale i usiadł na przekór przy kamiennym stole.

Użyjcież tej przemocy; ale was przestrzegam, iż wam to na sucho nie ujdzie.

Ludwik wyglądał istotnie tak, jak gdyby chciał rozpocząć bójkę, bo z zaciśniętemi pięściami przyskoczył do Jerzego i zapalczywie spoglądał mu w oczy; ale Karol przyciągnął go znowu do siebie na ławkę.

Po co się tak unosisz! rzekł on. Mylisz się bardzo, jeżeli sądzisz, że masz słuszność. Wszak to miejsce, nie jest naszą własnością; Jerzy przeto, może je tak dobrze zająć, jak i my.

Czy słyszysz! rzekł Jerzy nieco łagodniej. Karol, ma zawsze jeszcze więcej rozumu, niż ty. Zresztą mnie to wszystko jedno. Jeżeli ty Ludwiku chcesz użyć przemocy, więc zacznij; mnie wcale nie chodzi o tych kilka tuzinów kułaków.

O, nie, Ludwiku! Tu, gdzieśmy tak byli zadowoleni i szczęśliwi nie wolno się sprzeczać i kłócić, rzekł prędko Karol, zaraz spostrzegł, iż jego towarzysza zbierała znowu chętka, rzucić się na przeciwnika. A ty, Jerzy masz słuszność, jeżeli utrzymujesz, że masz takie same prawo do tego miejsca, jak i my; w przeciwnym zaś razie, to jest jeżeliś tu po to tylko przyszedł, żeby nam przeszkadzać i wszczynać

nać pomiędzy nami kłótnię i spory, przegrałeś zupełnie, przegrałeś, Jerzy, i musisz się do tego przyznać.

Oczywiście, Karolu, oczywiście, odrzekł Jerzy już nieco łagodniej. Ale czyż Ludwik miał mię zaraz zakrzyczeć i wypędzać? Otoż, żebyście wiedzieli, przyszedłem nie w tym celu, żeby wam przeszkadzać i mąclć waszą zabawę, lecz, żeby razem z wami zagrać; a w tem nie ma przecież nic złego.

Ależ ja z toba grać nie chcę, odparł Ludwik, wiesz przecież, że nie jesteśmy przyjaciółmi i dlaczego nimi nie jesteśmy!

Dlaczegoż tedy? zapytał Jerzy i spojrzał na przeciwnika tak wyzywająco. iż, tenże na nowo zapłonął złością.

Dlaczego! zawołał gwałtownie. Dlatego, ponieważ jesteś zły i nietowarzyski chłopak, z którym, żaden uczciwy młodzieniec wdawać się nie powinien. Teraz już wiesz dlaczego!

Tak, wiem, że wszystko najgorsze wmawiasz we mnie, a dowieść mi tego nie możesz! odrzekł Jerzy. A zresztą, coż ciebie mogą obchodzić moje sprawy? Czyż ja się troszczę o ciebie? Nie jesteś i ty, o wiele lepszym od innych ludzi, chociaż udajesz tak poczciwego!

Przynajmniej nie zastawiam łapek, nie wybieram z sideł kwiczołów i ryb nie zatruwam w stawach! wykrzyknął Ludwik.

A ktożto tak robi? zapytał Jerzy ciekawie i szyderczo. Czy może mnie chcesz o to posądzić? Udowodnij to, jezeli zdołasz!

A czyż to już nie wystarcza, jeśli sam na własne oczy widziałem? odrzekł Ludwik. Nie, mam wprawdzie świadków, ale swoim oczom mogę zawierzyć cokolwiek więcej, aniżeli twoim słowom i dlatego, nie chcę mieć z tobą nic do czynienia.

I na to zgoda! Ja też o nic więcej cię nie pytam, bo wiem, że jesteś kłamcą, — odrzekł Jerzy.

Nie wiele już brakowało do bójki, gdyż rozzłoszczony Ludwik poskoczył, odtrącił Karola, który i teraz jeszcze chciał go powtrzymać i wyciągnął już rękę, żeby Jerzego chwycić i rzucić o ziemię, ale zjawił się jakiś gość nowy, który kilkoma słowy przytłumił złość rozszalałą.

Stójcie! zawołał niskim i silnym głosem jakiś poważny mężczyzna, który z torbą myśliwską i puszką przy boku wystąpił z poza muru, gdzie, od niejakiego już czasu, stał niespostrzeżony. Stójcie! Nie pozwalam swarów i bójki na

tem miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze tak miły panował spokój i zgoda.

Stary leśniczy!... zawołali naraz wszyscy trzej chłopcy; a niespodzianka ta sprawiła, że Ludwika podniesiona już ręka opadła, on zaś sam stanął jak wryty. Pan leśniczy! zabełkotał jeszcze raz niewyraźnie.

Tak jest; stary leśniczy Antoni, który tu już przeszło pół godziny stoi i waszych głupstw słucha, odrzekł surowo wiekowy już wprawdzie; ale silny jeszcze strzelec muskając długi, siwy wąs i patrząc chłopcom ostro w oczy. Wy obaj, to jest: ty Jerzy i ty Ludwiku, zostajecie w błędzie; jeden tylko z was Karol ma rozum. Ty Jerzy, niepowinieneś im był przeszkadzać w graniu, a ty Ludwiku nie potrzebowałeś się do Jerzego tak ostro stawić, jeżeli chciał się do was przyłączyć. Zgoda uprzejemnia życie, kłótnia i spory zatruwają je. Zapamiętajcie to sobie, dzieci. Jak sobie kto pościele, tak się też i wyśpi. Jeżeli się obaj nie poprawicie i nie pozbędzieci waszych wad, może wam to kiedyś wyjść na złe. Rozumicie?

Rozumiemy, łaskawy Panie, odrzekł cichutko Ludwik. Poznaję, żem sobie źle postąpił. Ale, jeżeli Pan tu jeszcze od tego czasu zosta-

je, żeś słyszał naszą muzykę,więc zapewne i to ci nie tajno, żeśmy tu sobie obaj z Karolem całkiem spokojnie siedzieli. Mnie tylko to rozgniewało, że Jerzy na nas natarł tak zuchwale, więc się rozzłościłem na niego. Lecz teraz żałuję tego i wiesz co Jerzy, proszę cię o przebaczenie, a oraz przyobiecuję ci, że się na przyszłość, będę tego wystrzegał. Masz tu moją rękę!

Chętnie i otwarcie podał mu rękę, ale jej Jerzy nie przyjął, tylko patrzył w bok upornie i ponuro.

Dobrze, dobrze, rzekł on; ja ci już nie zapomnę tego obejścia się ze mną i tych wyrzutów, jakie, mi czyniłeś

To brzydko, Jerzy! zawołał stary leśniczy niezadowolony. Nie miałem cię dotąd za tak upartego! Czy nie pojednasz się tu natychmiast z Ludwikiem?

Nie! odrzekł krnąbrny chłopiec. On mnie zelżył i posądził o kradzież:

Wszakżeż tak jest w istocie niecnoto! rzekł leśnicry ostro. Czy sądzisz, że twoje częste wycieczki w krzaki uszły mojej baczności? Gdyby mi się choć raz kiedy, było udało schwytać cie na gorącym uczynku, byłbym ci pierw-

szym lepszym laskowym prętem wypisał na zkórze taką nauczkę, że na całe życie zostałaby ci była w pamięci. Teraz atoli, daję ci tylko przestrogę i radzę ci, zebyś na przyszłość zaniechał twoich sprawek. To ci mój Jerzy, nie wyjdzie na dobre. Zresztą słuchajno, mniejsza tam o tych kilka kwiczołów i parę ryb, które skradniesz; ale co gorsza, to to, że z małego złodzieja wyrasta wielki, a tego już czeka szubienica, bo każdy jest sprawcą własnego losu. Dlatego popraw się! Wiem, że jesteś zręczny w robieniu plecionych koszów i koszyków, które, w mieście chętnie kupują i dobrze płacą. Bądź tylko pilny i pracowity, a możesz się jeszcze wykierować na porządnego człowieka. Ale, jeśli będziesz tak dalej postępował, jak od śmierci twego ojca, popadniesz w wielką niedolę, a żal cię dobije, skoro ujrzysz, że cofnąć się już za późno. Pamiętaj to sobie, że jak sobie pościelesz, tak się też i wyspisz.

Ja, bynajmniej ani w lesie szkody nie wyrządzałem, ani ryb nie wyławiałem, odrzekł zatwardziały młodzieniec na ojcowskie opomnienie leśniczego.

Niech i tak będzie, rzekł tenże, ponieważ cię przekonać nie mogę, więc niech się ta cała

sprawa dzisiaj na niczem zakończy; ale pamiętaj, jeżeli cię po dzisiejszem upomnieniu raz tylko kiedy w moim lesie na jakim złym uczynku schwycę, wtedy stary Antoni, da ci się dobrze we znaki. Od dzisiejszego dnia będę cię miał na oku, a teraz możesz odejść!

Jerzy odwrócił się od leśniczego zuchwale i nie pożegnawszy się nawet pobiegł w pobliskie zarośla, a starzec patrząc za nim potrząsnął głową.

Odszedł, rzekł, rozdąsany i rozzłoszczony, nie okazawszy ani iskierki żalu. To źle Obawiam się, że go Pan Bóg pierwej dotkliwie nawiedzi, nim przyjdzie do opamiętania. O! bez kary Bożej, tu się nie obejdzie, bo każdy zły uczynek musi być ukarany. A teraz słówko do ciebie Ludwiku! Znam ja i ciebie także i wiem, że masz nie złe serce, ale jesteś porywczy, popędliwy i skory do kłótni. Złość to niedobre ziele, i jeżeli tylko z każdym dniem wzrasta, kiedyś zupełnie tobą owładnie, skoro się zawczasu nie postarasz o to, żeby je do szczętu zniszczyć i wykorzenić. Ponieważ ci sprzyjam, Ludwiku, dlatego mówię ci prawdę: jak sobie pościelesz, tak się też i wyspisz. Jest to prawda na długoletniem mojem oparta doświadczeniu;

ani razu się na niej nie zawiodłem. Uważaj więc dobrze i weź ją sobie do serca. Kłótliwy, nie ma nigdy przyjaciół wśród bliźnich i zatruwa sobie całe swoje życie.

Poznaję, że pan masz słuszność, panie leśniczy, odrzekł Ludwik, wysłuchawszy pokornie przekonywującego upomnienia. Przyznaję się do winy, oraz przyrzekam panu, że słów tych nigdy nie zapomnę i że się wezmę szczerze do pracy nad własną poprawą.

Toć wtedy nastąpią błogie skutki, rzekł uprzejmie leśniczy. Człowiek może zawsze czynić dobrze i rzetelnie, jeżeli mu tylko nie brak silnej woli. No, ale kiedy już ten wichrzyciel odszedł, zaśpiewajcież mi jeszcze taką piękną piosnkę, jak wprzódy. Bardzo pięknie brzmi tu głos, przy tem starem zwalisku, to jedno, co za tem przemawia, a powtóre to, że nie zechcemy się rozejść pod wrażeniem tak niemiłego akordu. Nastrój więc żwawo twoją cytrę Karolu!

Uczynię to wnet, odrzekł Karol ochoczo, ale wprzód mam do pana malutką prośbę.

Co za prośbę, mój synu? Wypowiedz ją otwarcie i śmiało.

Chciałbym się od pana dowiedzieć, jakich wad mnie się wystrzegać potrzeba! rzekł Karol.

Leśniczy uśmiechnął się dobrodusznie i z zadowoleniem rzekł.

Ty zostań tylko i nadal tak skromnym, pilnym, usłużnym i zgodliwym, jak byłeś dotąd, od czasu jak cię poznałem, a Pan Bóg cię wszystkiem hojnie obdarzy. Jednego tylko, musisz się wystrzegać: g ł a d k i c h s ł ó w e k z w o d z i c i e l a. Jeśli cię wabią źli chłopcy, nie słuchaj ich. Bądź zawsze gotów do dobrego, a do złego nigdy. Masz łagodny umysł i miękkie serce; wystrzegaj się przeto, żeby się twoja radość w słabość nie przemieniła. Więcej, jak sądzę, nauk ci nie trzeba.

Dziękuję Panu i za te; będę o nich pamiętał wtedy, kiedy się do mnie jaki oszust zbliży, odrzekł Karol. A teraz proszę nam powiedzieć, co mamy grać i śpiewać?

Co się wam podoba, moje dziatki! Tylko coś takiego, coby i do serca trafiło i zgodne było z tem miejscem, które tak spokojnie, pięknie i uroczyście wygląda, jak gdyby dopiero wyszło z rąk Stwórcy.

Karol skinął głową na znak, iż na to przystaje, posunął palcami po strunach cytry, potem chwycił kilka pełnych akordów i zanucił miłym i wdzięcznym głosem śliczną piosnkę:

»Któż to cię tak piękny lesie
Wzniósł uroczo i wspaniale!
Póki pierś mi oddech niesie,
Niech wciąż twego Twórcę chwalę!«

Ludwik łagodnymi tonami fletu towarzyszył tej pieśni, co miło, oraz uroczyście brzmiała przy zmroku. Po skończeniu ostatnich już akordów, otarł sobie oczy od łez poczciwy staruszek i uścisnął ręce obu chłopakom gorąco i życzliwie.

A, to piękna pieśń: poruszyła mi do głębi serce, odrzekł. Dziękuję wam dziatki i życzę dobrej nocy. Nie zapominajcie o tem, com wam mówił, a będziecie z przyjemnością przez całe życie wspominali o tym wieczorze! Dobranoc!

Dobranoc, panie leśniczy, dobranoc, zawołali chłopcy i zaczęli myśleć o powrocie. Cytrę i flet schowali znowu do swojej kryjówki i odeszli do domu.

Wkrótce rozeszły się ich drogi. Ludwik poszedł do wsi, Karol zaś przenocował w lesie u swego ojca węglarza. Nim się jednak rozstali podali sobie ręce, a Karol rzekł: Ja tego wieczora nie zapomnę nigdy; słowa poczciwego leśniczego ciągle brzmią mi w uszach i duszy.

I w moich także, Karolu, odrzekł zamyślony Ludwik poważnie. Przekonasz się, że się odtąd poprawię!

Tylko jedno jeszcze, ostatnie, serdeczne wymówili »dobranoc« i rozeszli się, a pełnia księżyca oświecała im drogę.

II.

Śnieżyca.

Wieczór spędzony przy zwalisku, nie pozostał i dla Jerzego bez skutku, chociaż trudno odgadnąć, z jakiej przyczyny. Być może, iż to sprawiły upomnienia leśniczego, a może obawa, żeby nie być schwytanym; dość, że od owego czasu rozpoczął nowe życie i zamiast uganiać po lesie, przesiadywał ciągle w chatce swojej matki, gdzie z wielką pilnością i jeszcze większą zręcznością wyrabiał z łoziny różne koszykarskie sprzęty, które potem matka sprzedawała w mieście. Dochód z tego wystarczał na zaspokojenie niezbędnych potrzeb życia;

niczego też więcej, matka Jerzego nie wymagała. Pilność syna uszczęśliwiała ją zupełnie a nieraz było widać łzę w jej oku, kiedy o tem z chlubą opowiadała sąsiadom. Zresztą, nietylko sama matka staruszka zauważyła po Jerzym ten zwrot ku lepszemu, lecz także Karol i Ludwik mówili już o tem, i cieszyli się, że ostre słowa leśniczego, wywarły przecież i na sercu Jerzego wrażenie. Nie unikali go też już odtąd, lecz okazywali mu przychylność, jeśli go kiedy przypadkiem spotkali, a Ludwik, podał mu nawet raz rękę do pojednania, kiedy pewnego wieczora przechodząc po przed jego drzwi, zastał go przy pracy. Tą razą, nie wzgardził nią Jerzy. Lecz owszem, okazał zadowolenie ze zbliżenia się Ludwika.

Dziękuję ci Ludwiku, rzekł, że mi nietylko już nie grozisz, lecz owszem chciałbyś ze mną przyjść do zgody. Ależ nie ty byłeś winnym, lecz ja; dlatego ja ciebie powinienem prosić o przebaczenie. Źle dotąd postępowałem, myślę więc przeto, na prawdę o poprawie. Dobrze mówił stary leśniozy, że „jak sobie pościelesz, tak się wyspisz“, bo odkąd się trochę ustatkowałem i stałem się pilniejszym, sprzyjają mi i sąsiedzi i wogóle wszyscy ci, którzy na mnie

dawniej patrzyli z ukosa i towarzystwa mego unikali. To mnie bardzo boli i dopiero teraz poznaję, że o wiele lepiej jest żyć w zgodzie, aniżeli w nieprzyjaźni z ludźmi.

Objawy takiej zmiany uradowały niezmiernie Ludwika.

Ach, te twoje słowa, rzekł ze szczerością, sprawiają mi więcej przyjemności, niż gdybym schwytał najpiękniejszą ziębę. Teraz byśmy się cieszyli, gdybyś ty Jerzy chciał zagrać razem ze mną i z Karolem. Przy starym klasztorze zejdziemy się jeszcze nie raz, ot naprzykład zaraz jutro wieczorem. Przyjdź! a bądź pewny, że cię nie powitamy kłótnią i swarem.

Dobrze, ponieważ mię sam wzywasz, przyjdę, odrzekł Jerzy.

A skrzypce przyniesiesz także?

Rozumie się, że przyniosę; zaraz jutro z rana je przygotuję.

Zgoda, Jerzy! A więc do widzenia się jutro wieczorem o siódmej.

Jerzy przyrzekł dotrzymać danego słowa i od tej chwili nastąpiła między nimi zgoda. Karol dowiedziawszy się o tem, cieszył się jeszcze bardziej, niż Ludwik i powitał Jerzego szczerze i po przyjacielsku, gdy się tenże

nazajutrz wieczorem, w oznaczonym czasie, stawił przy zwalisku. Grali więc i śpiewali razem, a Karolowi i Ludwikowi, ba, nawet samemu lśniczemu który ich znienacka naszedł, zdawało się, iż o wiele piękniej brzmią tony, odkąd Jerzy na skrzypcach wygrywał przy cytrze i flecie. Leśniczy pochwalił nawet Jerzego o zwrot ku lepszemu i upomniał go, żeby wytrwał na tej nowej drodze i żeby tym sposobem, był zawsze dla nich przyjacielskim, na co Jerzy przystał chętnie.

Odtąd często się schodzili przy zwalisku, o ile im na to zezwalało zajęcie. Tylko Karol nie stawił się czasem, gdyż musiał ojcu pomagać palić węgle; jednakże w niedzielę po południu, byli zawsze wszyscy trzej przy klasztorze i wygrywali, aż się dusza radowała.

Nie mieli wprawdzie innych słuchaczy prócz starego leśniczego, który tylko niekiedy opuścił schadzkę, ale o to, nie wiele się oni troszczyli. Nie ubiegali się też o oklaski, gdyż już muzyka sama sprawiała im bardzo wielką przyjemność, która się coraz bardziej zwiększała, w miarę tego, jak się wydoskonalali w graniu. Jerzy miał również piękny głos, nie tak wprawdzie pełny i miły, jak Karol, ale prze-

cież dosyć dobrze się wydawało jego wtórowanie w śpiewie, w czem po krótkim czasie doszedł do wielkiej biegłości i wprawy.

Kiedy zwolna minęło lato, a nastały jesienne ulewy i nadeszły mrozy, które drzewa i liście okryły białym szronem, ustały, rozumie się, koncerty przy klasztorze; lecz natomiast schodzili się trzej młodzieńcy we wsi, naprzemian raz u Karola, to znowu u Ludwika lub u Jerzego i tu śpiewali i wygrywali, ale zawsze tylko wieczorami, gdyż przez dzień miał każdy z nich dość innego zatrudnienia. W lecie, zarabiali na grosz zbieraniem jagód, kwiatów i innych lasowych roślin, ale i w zimie nie brakło im pracy.

Jerzy plótł zawsze jak dawniej swoje kosze: Karol pomagał ojcu palić węgle, a w chwilach wolnych od tego zajęcia, wyrzynał z lipowego drzewa rozmaite zwierzęta i figurki; Ludwik zaś ćwiczył przy pomocy fletu swoje ptaszki w śpiewie, żeby je potem tem łatwiej i korzystniej módz spieniężyć. W braku innego zajęcia wyrzynał z jedliny kołki do wieszania bielizny, do czego nie trzeba było wiele zręczności, tylko ostrego noża i wytrwałej pilności.

Wszyscy trzej musieli dobrze pamiętać o tem, żeby w jakikolwiekbądź sposób przyjść do grosza, gdyż we wszystkich chatkach małej wioski panowało takie ubóstwo, iż każdy, chociażby zresztą nawet drobny zarobek, był nietylko pożądany, lecz owszem nawet konieczny. Nadto należeli rodzice Karola i Ludwika do najuboższych w całej wsi i nie posiadali niczego więcej prócz nędznej, słomą krytej lepianki. Nie mieli ani roli, ani łąki, lecz byli skazani na żywienie się z samej tylko pracy rąk

Wiemy już, że ojciec Karola trudnił się wypalaniem węgla, Ludwika ojciec wyrabiał smołę i sadzę, a ojciec Jerzego nie żył już dawno. Był on także koszykarzem, tak, jak Jerzy, któremu o tyle więcej dokuczała bieda, że prócz o siebie, musiał się jeszcze starać o staruszkę swoją matkę, która prowadził askromne gospodarstwo, a przytem zyskała jeszcze niekiedy parę groszy za przędzę

Wszyscy trzej byli pilni, ale zamożnymi stać się nie mogli, gdyż tylko tyle zdołali zarobić, ile koniecznie potrzeba było do życia.

Bogaczem więc nie był z nich żaden; mimo to jednak zawsze byli zadowoleni i dziękowali Panu za to, że przynajmniej to daje, czego

im niezbędnie było potrzeba. Więcej nad to nie pragnęli Skoro tylko zarodziły jagody w lesie, skoro można było dobrze sprzedać węgle i smołę, skoro Karol, Ludwik i Jerzy mieli odbyt na rzeźbie i ptakach, wtenczas już się uzbierało właśnie tyle pieniędzy, ile było potrzeba do kupienia chleba, ziemiaków, niekiedy nawet kawałeczka mięsa i najpotrzebniejszego odzienia. Pomieszkania nie opłacali a opału na zimę wolno im było w pewnych dniach, w tygodniu uzbierać sobie w lesie tyle, ile kto potrzebował.

O to, już zwykle kobiety jeszcze za ciepła się starały i nanosiły na ramionach tyle, ile im się na całą zimę potrzebnem wydawało. Jeśli zaś komu nagromadzony zapas nie wystarczył, w takim razie wybierali się mężczyźni i chłopcy do lasu z siekierami i drągami, zaopatrzonymi na końcu w żelazny haczyk i odcinali lub odłamywali suche gałęzie z drzew, ale tylko suche, bo zdrowego, zielonego drzewa pod karą nikt nawet tknąć nie śmiał.

Jak rok rocznie, tak też i tego roku zaopatrzyły skrzętne kobiety swoje drewótnie zawczasu, w dostateczną ilość opału, ale niestety, po pięknem i ciepłem lecie nastąpiła wczesna

i nadzwyczaj ostra zima i trzymała bardzo długo bez przerwy tak, że nawet najstarsi ludzie nie pamiętali tak srogiej zimy. Na stawach i sadzawkach stanął lód na kilka stup grubości, przeszło na łokieć głęboko zamarzła ziemia jak kamień, a cichemi nocami słychać było często w pobliskim lesie trzask, jakby z pistoletu.

To zły znak, mówił nie jeden gospodarz, do swoich strwożonych dzieci. Drzewa się łupią od mrozu, bo jak tylko pęknie kora, wnet trzaska i drzewo. Dałby Bóg, żeby nastąpiła odwilż!

Minął już listopad, grudzień, styczeń, a zimno nie ustepowało. Co więcej, w lutym pocisnęły jeszcze sroższe mrozy. Ptaki padały zmarznięte z powietrza. Jelenie i sarny ginęły od mrozu, a przez cienkie ściany wdzierało się zimno do chat tak nielitościwie, że przez cały dzień trzeba było palić w piecu, żeby odpędzić tego zajadłego wroga i jakie takie tylko ciepło utrrymać w chacie. To pożerało mnóstwo drzewa, tak, że już z początkiem lutego były drewótnie u większej części wieśniaków wypróżnione. Nie było więc żartu; kto się tylko nie chciał wśród własnych swoich czterech ścian

zamrozić, musiał po świeży opał wybierać zię do lasu.

Mój ojciec idzie jutro do lasu, rzekł jednego wieczora Ludwik do Karola i Jerzego, gdy, jak zwykle, razem się zabawiali graniem. Drzewo, węgle, wogóle wszystko, co się tylko dało spalić, poszło już z dymem przez komin i już ledwie na trzy dni tylko mamy zapasu.

Mój ojciec idzie także, odrzekł Karol. Dziś już poostrzył siekierę, a mnie dał do ostrzenia toporek. To znaczy, że i ja mu będę towarzyszył.

To i ja pójdę z wami w takim razie, rzekł Ludwik.

I ja także! dodał żywo Jerzy. Mamy jeszcze wprawdzie na dwa tygodnie opału, ale może zimno pociągnąć dłużej, a zresztą, gdzie wy, tam i ja!

Dobrze, rzekł Karol. Więc będziemy się trzymali razem i nawzajem sobie pomagali. Znam pewne miejsce w lesie nieopodal klasztoru, gdzie jest dość suchego drzewa. Udamy się na to miejsce i przyniesiemy do domu więcej, niż drudzy.

Ludwik i Jerzy zgodzili się na to i stanęło na tem, iż mieli razem z innymi na-

zajutrz rano o szóstej godzinie wybrać się do lasu.

W oznaczonym czasie zebrali się chłopcy i wyruszyli wraz z ojcami i innymi mieszkańcami wioski do lasu. W lesie rozeszli się w różne strony, każdy tam, gdzie się spodziewał najwięcej znaleźć suchego drzewa. Tylko Karol, Ludwik i Jerzy puścili się w głąb lasu razem. Z Karolem na czele przeszli kilka pagórków i dostali się na rozległą wyżynę, porośniętą przeważnie dębiną. Miejsce to, dzieliła od zamczyska przestrzeń dobrej pół godziny drogi.

Otóż właśnie cel naszej podróży, rzekł Karol. Jak widzicie, jest tu dość drzew, więc i susz się znajdzie, gdy go będziemy szukali.

Rzeczywiście dobre miejsce, dodał Ludwik, a więc do dzieła!

Chłopcy chwycili siekiery i żerdzie i wnet rozległ się wśród leśnej ciszy trzask gałęzi i czysty dźwięk mocnych razów. Mimo strasznego mrozu nie czuli oni wcale zimna, gdyż pracowali tak żwawo, że im wkrótce pot zrosił skronie.

To gromadzkie, krzyknął Ludwik do swoich towarzyszów, odrąbawszy znowu tęgą gałąź

od pnia. Za godzinę przysporzę więcej zapasu, niż zdołam dowlec,

Karol i Jerzy okazali swoje zadowolenie i z niezmordowaną pilnością krzątali się mniej więcej godzinkę, aż tu nagle nadciągnęła posępna chmura i przesuwając się ciężko po niebie, zasłoniła słońce, które jeszcze dotąd jasno las oświecało. Naraz zamienił się dzień w ciemny mrok, a równocześnie zachuczał też gwałtowny wicher ze śniegiem, w skrzypiących i trzeszczących wierzchołkach drzew.

O Boże, co za chmura! zawołał przestraszony Ludwik, do swoich nie mniej strwożonych towarzyszów. Nie daj Boże! żeby to była śnieżyca.

Chwytajmy prędko, co się da i uciekajmy co rychlej, rzekł Karol, bo jeżeli nas tu na tej wyżynie śnieg zachwyci, nie ujdzie to nam na sucho; wiem o tem dobrze.

Mówiąc to, przygotowywał się do wykonania swego zamiaru, a Jerzy z Ludwikiem poszli za jego przykładem, nie namyślając się długo. Siekiery porzucili i drwa poskładawszy, pozwiązywali sznurami, które każdy z chłopców miał w tym celu przy sobie.

Atoli mimo ich pospiechu, uprzedziła ich chmura śnieżna z wiatrem, gdyż właśnie w chwili, kiedy biedni chłopcy brali swoje wiązki na barki, zahuczał wiatr na nowo z niesłychaną natarczywością. Suche gałęzie drzew, uginając się, uderzały o siebie, odłamane, spadały na ziemię, oni zaś sami ledwo na nogach utrzymać się zdołali.

Może być gorzej, niż myślałem, zawołał Ludwik z całej siły, żeby być zrozumianym, gdyż gwałtowny prąd wiatru unosił słowa ledwo co wymówione. Musimy się trzymać silnie i iść ręka w rękę, inaczej bowiem powali nas burza o ziemię. Rychło!

Karol i Jerzy usłuchali i wszyscy trzej zwarli się mocno, ażeby tym sposobem módz przez pagórek dostać się do pobliskiego dołu, bo sądzili, że tam się schronią przed burzą. Lecz zaledwie uszli dwadzieścia może kroków, a pewno dwadzieścia razy tyle jeszcze mieli do dołu, gdy wtem dwakroć gwałtowniejszy wiatr zahuczał i mimo wszelkiego oporu, obalił ich na ziemię.

Równocześnie uderzył grzmot z takim łoskotem, jak gdyby całe sklepienie niebieskie runąć miało na wstrząśniętą ziemię.

Bladzi i drżący z przestrachu, chłopcy wypatrzyli się na siebie

Boże zmiłuj się nad nami! wyjąknął Karol drgającemi usty.

Na nogi, na nogi! krzyknął Ludwik, ochłonąwszy najpierw z przestrachu. Chmura wisi nad nami, a śnieg sypie jak z rękawa. Musimy uciekać! Zostawmy wszystko i uciekajmy co tchu w dolinę, żebyśmy jakim cudem uratowali nasze życie!

Z wielkiem natężeniem powstali chłopcy, odrzucili wiązki i żerdzie i walczyli co sił starczyło z burzą, która coraz bardziej się srożąc, ogromnemi kawałkami zmarzniętego śniegu biła im w twarz tak, że zgoła nic widzieć nie mogli, a z zimna, mało co nie skostnieli. Ledwo postąpili parę kroków, upadł Karol znowu i pociągnął za sobą Jerzego, co Ludwika też czekało, gdyby się był nie oparł o pień drzewa o jakie dwa lub trzy kroki dalej.

Karolu! Jerzy! krzyknął głośno. Gdzie wy jesteście? Ja was nie widzę! Karol, Karol!

Tutaj! odpowiedział biedak, podnosząc się wraz z Jerzym z ziemi. A to straszna burza! Śnieg mi zasłania oczy, a zimno mrozi członki. Gdzieżeś ty Ludwiku?

Tu, tu! prosto! Jesteście? A dzięki Bogu, żeśmy znowu razem przy sobie! Tylko na miłość Boga nie rozrywajmy się, bo zginiemy! Musimy koniecznie dostać się na dolinę.

Wszyscy trzej zgodzili się na to, że się muszą gdzieś schronić i zwarłszy się powtórnie, walczyli na nowo z zawieruchą. Skoro który z nich utknął gdzie w jakim krzaku lub korzeniu, tamci go ratowali i tak padając i chwiejąc się postępowali naprzód; lecz jakie musiało być ich przerażenie, kiedy teraz spostrzegli, że zamiast się zbliżać ku dolinie, oni się od niej w przeciwnym kierunku oddalają. W zamieci śnieżnej, która im na krok przed sobą widzieć nie dozwalała, zboczyli z wytkniętej drogi i przyszli kołując na to samo miejsce, gdzie przygotowali drwa w wiązanki. Jerzemu i Karolowi wymknął się z piersi okrzyk przestrachu, ale Ludwika nie opuściła przytomność.

Bądźcie spokojni, błagam was na Boga, upomniał spólników tej ciężkiej chwili. Tylko rozwaga i przytomność, zdołają nas ocalić. Zatrzymajcie się chwilkę, niech się rozglądnę, czyby się nam nie udało znaleźć znowu prostej drogi!

Było to bezwątpienia trudne zadanie, ponieważ coraz gęstszy i ostrzejszy śnieg gwał-

townym wichrem wzbity w tumany, osłon wszystko okropną ciemnością. Znaleść więc teraz ścieżkę w tej zawiei, wśród dnia, znaczyło tyle, co szukać jej wśród ciemnej nocy. Szukał wprawdzie Ludwik dokoła rękami, czy nie znajdzie czego, coby go na ślad naprowadzić mogło, ale wkrótce poznał, iż praca ta, nie wyda pożądanego owocu, ponieważ ręce jego, utraciły od mrozu czucie. Musiał więc zaniechać poszukiwania śladu, czy też jakiego znaku, coby im miał służyć za wskazówkę.

Ha, nic nie pomoże; musimy się zdać na Bożą wolę i iść na chybił-trafił naprzód, rzekł Ludwik. Gdybyśmy tu zostali, zamarzlibyśmy od zimna i znaleźlibyśmy grób w śniegu. Idźmyż więc, dopóki nam służyć będą nogi, a tchu nie braknie w piersi. Może nam Bóg wskaże jakie schronienie; w przeciwnym razie, nie będziemy mieli sobie nic do wyrzucenia. Naprzód więc!... koniecznie... niech się zresztą dzieje Boża wola!

Gdybyśmy się tylko do zwaliska dostać mogli! rzekł Jerzy, drżący od zimna. Tam byśmy się skryli przed burzą i śniegiem w podziemnych piwnicach.

Pewnie! ja sam już o tem myślałem, że najbliższą kryjówką jest zamczysko, rzekł Ludwik, ale w której stronie go szukać? Któż z nas wie, czyli ono jest za. czy też przed nami, w prawo lub w lewo?

Jednakże na wszelki sposób musimy iść naprzód, odrzekł cichutko Karol, drżąc od zimna. Od tej strasznej burzy lodowacieje mi krew w żyłach tak, że ledwo stoję na nogach.

Ludwik zajrzał badawczym wzrokiem Karolowi z bliska w twarz i krzyknął w głos, chwycił przyjaciela za ramię i ciągnął gwałtem za sobą.

Naprzód, naprzód Jerzy, naprzód i nie wypuszczaj na miłość Boga naszego Karola z ręki! Wygląda jak trup! O Boże, zlituj się nad nami, bo zginiemy! Naprzód Karolu, naprzód, biegnij jak tylko możesz i nie poddawaj się omdleniu, które tobą owłada.

Mówiąc to, biegł wciąż naprzeciw śnieżnej kurzawy i mroźnego wichru, nie dbając ani też dopytując o kierunek; towarzyszów swoich ciągnął za sobą, a Karola podtrzymywał, ile razy tenże gdzie utknął.

Naprzód, tylko naprzód! powtarzał często silnym, ale rozpaczliwym głosem. Trzymaj się

prosto, Karolu! Trzymaj się prosto! Nie możesz przecież zginąć tu w lesie, jak nędzne zwierzę! Naprzód, naprzód!

Tak biegł ciągle, wlokąc prawie za sobą Karola i Jerzego gwałtownie, a od strachu przed grożącem niebezpieczeństwem, wzmagały się w dwój- i trójnasób jego siły. Nie zdołało go nic powstrzymać, ani rozszalała burza, hucząca gwałtownie, ani śnieżyca, co całemi płatami przygnieść go i pogrzebać chciała, i jakby na przekór nic nie ustawała.

Po kilku minutach takiego biegu, przyszedł Karol nieco do siebie i ruszał się lżej i swobodniej. Próbował dotrzymać Ludwikowi kroku, żeby mu ulżyć, ale niestety, wskutek tego natężenia, opuściły go siły na nowo.

Dalej już nie mogę, odrzekł ledwo zrozumiałym głosem. Zostawcie mię na Boską opatrzność, a uciekajcie sami.

O, nie! odrzekł Ludwik stanowczo. Wytrwaj Karolu jeszcze chwil kilka! Oprzej się silnie o moje ramię, zawieś się na mnie, chwyć się mnie całą siłą i nie poddawaj się zwątpieniu. A, jakżeż tobie, Jerzy? czy możesz jeszcze iść?

Och, z wielką trudnością, ale muszę! odrzekł Jerzy cichym głosem. Spodziewam się, że wytrzymam jeszcze kilka minut

Więc na upór naprzód! rzekł Ludwik, zobaczymy, czy nam się uda. Naprzód Karolu!

Nie mogę, nie mogę! westchnął biedak. Zostawcie mię, niech się położę: wszak to wszystko jedno, czy umrę tu, czy o sto kroków dalej!

A, broń Boże! Dlaczegoż masz umrzeć, kiedy mi Pan Bóg daje jeszcze siły i wytrwałości, odrzekł Ludwik.

To rzekłszy, objął go jak dziecię rękami, podniósł, przycisnął do piersi i niósł wśród burzy i śnieżnej zawiei. Zdawało się, że nic nie zdoła wyczerpać jego siły; stękał wprawdzie i kaszlał, nogi się pod nim chwiały, a gwałtownym wichrem zmuszony, musiał niekiedy stanąć na miejscu, po chwilce atoli spieszył dalej i żadna przeszkoda nie zdołała przełamać jego odwagi.

Byłby jednakże przecież musiał uledz, gdyby Opatrzność nie była dopomogła. Śnieg co mu twarz i odzienie twardą pokrył powłoką, zasłonił mu oczy tak że jak ciemny szedł naprzód na oślep. W tem uczuł, że stracił z pod

nóg ziemię i usunął się swoim ciężarem w stromą przepaść. Na szczęście leżało śniegu tak grubo, że biedacy wpadli weń, jak w miękkie łoże, bez żadnego uszkodzenia. Ludwik z Karolem, jakoteż i Jerzy, który tamże wpadł bezpośrednio za nimi, leżeli przez jakiś czas jakby odurzeni, aż pierwszy Ludwik, podniósłszy się w odgarniętym śniegu, wydał okrzyk radości i to nie bez przyczyny. Sypał wprawdzie śnieg jak i pierwej, jakby z rękawa, ale ustała natarczywość burzy, która dotąd biednym chłopakom odbierała siły, ziębiąc krew i tamując oddech w piersi. Przepaść, w której się znaleźli, zasłoniła ich przed burzą, która się ciągle w górze, ponad ich głowami srożyła.

O, dzięki Ci Panie! zawołał Ludwik, odetchnąwszy z głębi piersi. Karolu, Jerzy, cieszcie się, jużeśmy ocaleni! Zaprowadził nas Bóg na miejsce, w którem możemy odpocząć i nowych nabrać sił, a drogę stąd dalej, już przecie spodziewam się znaleść.

Karol i Ludwik nie odpowiadali, znużeni do upadłego walką z rozsrożonymi żywiołami. leżeli nieruchomo i ledwo oddechali. Ludwika opanowała trwoga na myśl, że już może kończą życie; nachylił się przeto do Karola, żeby go

ocucić z odrętwienia. Odgarnął śnieg z jego bladego oblicza, natarł mocno czoło i skronie i po kilku już chwilach przekonał się z radością, że żyje. Karol otworzył oczy, odetchnął kilka razy głębiej i spoglądał wdzięcznym i jasnym wzrokiem na wiernego i troskliwego przyjaciela.

O, mój dobry Ludwiku! wyrzekł słabym głosem.

Nie ja, lecz Bóg jest dobry, odrzekł dzielny młodzieniec w radośnem zdumieniu. Powiedzże mi, czy ci jest lepiej, mój biedny Karolku?

O, lepiej, znacznie lepiej! rzekł chłopiec już nieco donośniejszym głosem, przy czem blade dotąd usta, zaróżowiały się lekko. W śniegu mi bardzo dobrze, zwłaszcza, że mi już nie dokucza burza Pod tą białą kołdrą tak mi miękko i ciepło jak w łóżku. Ale gdzież jest Jerzy? Ja go nie widzę.

Jestem tu! odezwał się żywo Jerzy, podnosząc sie z pod śniegu. Masz słuszność Karolu; śnieg rozgrzewa. Chwilki jeszcze potrzebuję odpoczynku, a już będę mógł iść dalej!

Dobrze więc, rzekł Ludwik. Tu jesteśmy całkiem bezpieczni i zaczekamy aż albo ustanie burza, albo my się na siłach czuć będziemy do

dalszej drogi. Dzięki Bogu, wiem już, gdzie jesteśmy.

Jakim sposobem? Gdzie jesteśmy? zapytali prędko obaj chłopcy.

Obejrzyjcie się, a poznacie sami. Wpadliśmy do wilczej jamy, nad którą ta oto sterczącа skała jak płaszcz, chroni nas od burzy. Bóg nas tu zaprowadził, chcąc nas ocalić. Teraz trzeba koniecznie zejść tędy na dół, żeby się przez staw, módz dostać do zamczyska.

Tak jest, tak jest, Ludwik ma słuszność, potwierdził Jerzy, przypatrzywszy się skale. Teraz mogę to potwierdzić stanowczo, gdyż poznaję, że to jest właśnie miejsce, w którem nieraz spoczywając, oglądałem rozległą tę dolinę. Tak jest, jest to wilcza jama i jeżeli się nieco tylko na prawo puścimy, wejdziemy w dół, który nas zaprowadzi] prosto do stawu. Znam tę drogę; nie zła.

A!... przecież i ja ją znam także, dodał weselej Karol, a jeżeli już wiemy, gdzie jesteśmy ręczę, że nie zbłądzimy. Chodźmy! w zwalisku będziemy bezpieczni jak w domu; tam już i śnieg, nie będzie nam dokuczał.

Ale czy czujesz w sobie dość siły do tej drogi? zapytał troskliwy Ludwik, bo skoro

opuścimy to miejsce, burza się do nas weźmie na nowo.

Zdaje mi się, że teraz zdołam się jej już oprzeć, odrzekł Karol z otuchą. Nie lękam się, gdyż czuję, że odżyłem na nowo Zresztą, nie trzeba nam więcej nad ćwierć godziny, żeby się dostać na dół zwłaszcza, że droga prowadzi wciąż z góry bez żadnej przeszkody. Ruszajmy więc!

A ty, Jerzy!

O, mnie już całkiem dobrze! odrzekł pewien siebie. W najgorszym zaś razie, gdyby nam Karol ustał w drodze, zaniesiemy go na rękach.

A więc, w Imię Boże, naprzód! zawołał Ludwik. W zamczysku będzie nam bez wątpienia lepiej niż tu, a skoro się tam już dostaniemy, rozgospodarzymy się w niem wygodnie. Siekierkę mam jeszcze za pasem, zapałki w kieszeni, a drzewa nam przecież nie zabraknie. Naprzód więc! Trzymaj się mnie Karolu!

Chłopcy wzięli się za ręce, jak pierwej, i rozpoczęli dalszą drogę brodząc w głębokim śniegu. Ledwo opuścili wilczą jamę, napadła ich burza, z tą samą co pierwej natarczywością, ale doświadczeniem pouczeni, trzymali się dobrze.

Tylko dalej! wciąż dalej! krzyczał Ludwik. Chwilkę tylko a potrzeba nam dostać się do tego wąwozu, tam już lepiej pójdzie. Nie traćmyż odwagi! Jeszcze chwilkę!

Całą siłą opierali się gwałtownemu wichrowi przebijając się przez zaspy śnieżne i krzaki, aż doszli nareszcie po rozpaczliwej walce z burzą, do wąwozu zamkniętego z dwóch stron wzgórzami, które im były pożądaną ochroną. Tu stanęli nieco, wsłuchując się z bijącem sercem w wycie i szum burzy, co po nad ich głowami przeciągała, ale nad nimi żadnej już nie miała władzy. Śnieg atoli gęsty, tak padał jak przedtem, że w kilku chwilach wyglądali jakby w białe uwici płaszcze.

Ludwik upatrywał w tem nowe niebezpieczeństwo.

Dalej, naprzód! wołał. Śnieg pada tak okropnie, że mógłby nam zamknąć drogę, gdybyśmy się odciągali dłużej. Spieszmyż przeto na dół co tchu.

Kroczyli więc żwawo naprzód i przekonali się wnet, że uwaga Ludwika była na nieszczęście uzasadnioną; wiatr bowiem nasypał w niektórych miejscach tyle śniegu, że nieraz brnęli biedacy po pas, ba nawet po ramiona.

Jednakże nadzieja bliskiego ocalenia z tej rozpaczliwej doli, użyczała im świeżych sił do wytrwania i przełamania, ostatnich już przeszkód. Znalezli się nareszcie w dolinie, gdzie stało zamczysko. Skoro na nią wstąpili, zachrupotało coś pod nogami; było to zamarznięte sitowie. Staw! Krzyknęli wszyscy z radości i przebiegłszy szybko przez gruby lód, wpadli z wesołym okrzykiem do starego zwalizka, w którego podziemnych sklepieniach, znaleźli wyborne schronienie.

Jesteśmy ocaleni! Dzięki, cześć, i chwała Panu! jesteśmy ocaleni! zawołali wszyscy trzej równocześnie i rzucili się wzajemnie w objęcia płacząc z radości, że uszli śmierci, która ich koniecznie chciała zagrzebać w zimnem swem, białem powiciu.

W kilka chwil później, płonął już w tem podziemiu jasny ogień, przy którym siedząc, rozgrzewali biedni chłopcy przeziębłe członki. Jednakże, zaledwo zabłysł na ich oczach promyczek szczęścia i radości z powodu cudownego ocalenia, a już zaczęły się zwolna na ich czołach, gromadzić nowe chmury trosk i obawy. Uciekli przed burzą, zimnem i śniegiem; ale któż zgadnie, jak długo miała jeszcze trwać

śnieżyca, w czasie której, ani mowy o powrocie do wioski? Czemżeż mieli zaspokoić głód, gdyby tu dłużej, w tem niedostępnem więzieniu, mieli pozostać zamknięci? Co się stało z ojcem Karola i Ludwika, których także napadła śnieżyca. Te pytania nasuwały się biedakom, mimowolnie, a żaden z nich nie mógł na nie dać pocieszającej odpowiedzi.

W Bogu nadzieja! rzekł nareszcie Ludwik, kiedy się spotkały ich smutne wejrzenia. Pan, który nas tak cudownie ocalił, okaże i w tym względzie swoje miłosierdzie nad nami, wszakże i nasi ojcowie zostają pod Jego wszechmocną opieką. Wołajmy o pomoc modląc się do Niego! »Panie! W Tobie moc i ufność nasza! Tyś naszą ucieczką w potrzebie!«

Modlili się długo i gorąco, a po tej modlitwie, wstąpiły w ich strwożone serca, pokój, ufność i nadzieja.

III.

W Zamczysku.

Tak! Nadzieja powróciła w ich serca znowu, skoro wznieśli swe oczy i myśli do przed

wiecznego Ojca nad obłokami, a z nadzieją równocześnie odwaga, nakazująca im zgodzić się z tem położeniem i nad niem, się zastanowić

Dlaczegoż mielibyśmy zaraz wątpić i rozpaczać? rzekł Ludwik. Gdyby nawet na to się zanosiło, żeby śnieżyca nie miała ustać, to nie wynika ztąd jeszcze żadną miarą, abyśmy nie byli ocaleni. W najgorszym razie gdy byśmy tu dzień, lub nawet kilka dni mieli pozostać, nie widzę w tem jeszcze tak wielkiego nieszczęścia. Od śniegu i zimna chronią nas te silne mury i ogień; który pilnie podtrzymywać potrzeba, a gdyby nam się głód chciał koniecznie dać we znaki, to się przecież ostatecznie coś znajdzie, na zaspokojenie takowego.

Pewnie, tu, w tem starem pustkowiu, gdzie nawet mysz się nie ma czem pożywić? odrzekł Jerzy kiwając głową.

Jużci, że nie wewnątrz tych murów, odrzekł Ludwik, bo wapna i kamieni nie zamienię w chleb, ale tam zewnątrz, znajdzie się coś takiego pod śniegiem, co nas wybawi od śmierci głodowej. Przypominam sobie, że w jesieni leżało o jakie sto kroków stąd, pod dębami mnóstwo żołędzi. Przysmakiem tego, nazwać nie można, ale da się ostatecznie spożyć, jeżeliby

o to szło, żeby zaspokoić nieodzowne wymogi żołądka. Tonący brzytwy się chwyta; zresztą głód zawsze był i będzie najlepszym kucharzem.

Ale jakżeż się tam pod te dęby dostać? jak uprzątnąć śnieg?... wtrącił Karol. Jeżeli taka śnieżyca jeszcze dobę tylko potrwa, nasypie śniegu na kilka łokci grubo.

Prawda i to! rzekł Ludwik. Ha, będziemy się przekopywać jak krety. Praca w parze z cierpliwością, zdołają wiele. Ale pocóż zaraz myśleć o ostateczności? Kto wie, może burza do jutra się uspokoi, zamieć śnieżna ustanie, a my bez wielkich trudów i mozołów dostaniemy się do domu.

Ej bardzo wątpię o tem, odrzekł Jerzy pokiwując głową, w naszych górach, trwa taka burza i zawieja zwykle, dwa lub trzy dni.

A gdyby i tak było, toć właśnie potrzeba wytrwać, ale wątpić przenigdy, odparł Ludwik. Mężne serce, pokonywa wszelką trudność łatwiej, niż lękliwe. Dlatego właśnie patrzmy niebezpieczeństwu śmiało w oczy, zdawszy się na Boga. Ten, co nawet małe ptaszęta żywi, nie da nam młodym zaginąć.

Gorące przemówienie Ludwika odniosło pożądany skutek, gdyż chłopcy acz z bolem, pod-

dali się jednak z otuchą tej smutnej konieczności. Tylko o swoich był w obawie, gdyż nie łatwo mogli się pozbyć tej myśli, że im śnieżyca przyniosła zgubę. Nawet Ludwik nie ręczył wcale za to, czy się zawczasu schronili. Przekonać się o tem na pewne, można było dopiero w przyszłości, gdyż teraz znajdowali się sami w takiem położeniu, że o poszukiwaniu, ani mowy być nie mogło.

Kiedy tak biedni chłopcy przy ogniu siedząc, objawiali swoje zdania i zapatrywania, szalała zewnątrz burza z niepohamowaną gwałtownością, a nieraz też i o zwalisko wściekle uderzała, jak gdyby chciała wzruszyć z posad stare mury i obrócić w gruzy. W jednej z piwnic, ukryci chłopcy nie o wszystkiem wiedzieli, co się działo na dworze, gdyż wejście zamknęli grubemi, dębowemi drzwiami, zostawiwszy mały tylko otwór dla dymu. Czasami tylko, kiedy szum i wycie rozszalałego żywiołu się wzmagały, zasłyszeli nieco i wtedy spoglądali trwożliwie po sobie, zawsze jednakże zwracając dziękczynną myśl do Boga, który im tak bezpiecznie pozwolił się schronić.

Nim noc zapadła musieli jeszcze wyjść, żeby przynieść z lasu drzewa, aby dopiero na-

leżycie ogrzani, mogli oprzeć się burzy. Raźno im też szła ta praca. Ludwik rąbał młode brzózki, które wpadły pod rękę, a Karol i Jerzy nosili drzewa do zamczyska: a że na szczęście, nie brakło w tej stronie młodych drzewek, uporali się szybko, mimo wichru i śniegu i powrócili do swej kryjówki. Tu porąbali drwa na drobne kawałki i zgodzili się na to, że jeden po drugim, miał być stróżem ognia i ciągle go podtrzymywać Ludwik rozpoczął. Karol i Jerzy położyli się tuż prawie przy ognisku i mimo trosk i obawy o przyszłość, wnet usnęli twardo, skutkiem nadzwyczajnego znużenia, a Ludwik usiadł na stosie drew przy ogniu i oddał się ciężkim myślom Zwolna zapanowało i nad nim znużenie tak, że pomimo woli, zasnął, ale czujnym snem. Miał jednakże jeszcze na tyle przytomności, że się czasami zrywał i dorzucał pełne narącze drew do ognia, żeby nie wygasł. Zdawało mu się nie raz, że połowa albo przynajmniej trzecia część nocy, już upłynęła i że jednego z towarzyszów może obudzić, na swego zastępcę; ale kiedy spojrzał na ich blade twarze, nie miał serca przerywać im pokrzepiającego snu, a może... może i słodkiego marzenia.

Niech odpoczywają, pomyślał sobie. Ja się zawsze w sam czas obudzę, a prześpię się tymczasem dostatecznie, żeby na jutro uzyskać potrzebnych sił.

Nie budził więc swoich kolegów, lecz przepędził noc śpiąc i czuwając w połowie, aż wreszcie nad rankiem, owładnął nim ciężki sen zupełnie Usiłował wprawdzie, raz jeszcze przebudzić się, lecz nadaremnie, i, szepcząc niezrozumiałe słowa. usnął jak tamci.

Ogień płonął bez stróża tak jasno, jak pierwej, lecz zwolna malały i przygasały płomienie, aż nareszcie pozostały tylko żarzące się węgle, które następnie popielały. Zasnął ogień, jak znużeni chłopcy, i tak spoczywało wszystko w objęciach snu, prócz śnieżycy, która się gwałtownie srożyła, igrając z wirującemi chmurami.

Nareszcie, musiało to już być dobrze po północy, zbudził się w zamczysku ruch na nowo. Przez szpary wciskające się zimno, dokuczało spiącym i przerywało im sen. Karol obudził się najpierw, wyciągnął się smacznie, lecz przeraził się nie mało, otaczającą go zewsząd ciemnością. Nieznaczny tylko blask dostrzegł pod p

piołem, gdzie pierwej tak wesołe buchały płomienie.

Pewnie zasnął Ludwik, zapomniawszy nas przebudzić, pomyślał.

Przyszedłszy nareszcie zupełnie do przytomności, szukał rękami dokoła dopóty, aż znalazł kilka szczypek drew; przykląkł nad gasnącym żarem, zdmuchnął popiół i starał się rozdmuchać resztki jarzącego się jeszcze nieco węgla. To mu się udało. Kilka kawałków brzozowej kory, zapaliło się prędko, a dorzucone drzazgi sprawiły, że miły ogień zapłonął napowrót, rozpędzając nieznośną ciemność i dokuczliwe zimno. Równocześnie z płomieniem, obudzili się dwaj jeszcze śpiący, i Ludwik zerwał się przerażony.

A więc ja się zdrzemnąłem! zawołał, Bóg wie, jak to się stało; ale naraz uczułem się tak słabym i zmęczonmy, żem stracił przytomność. Któż rozniecił ogień napowrót?

Ja, odpowiedział Karol, Na szczęście, zbudziło mnie zimno w sam czas; znalazłem jeszcze kilka zarzących się węgli. Nie czyń sobie wyrzutów; nie dziwnem jest znużenie po takim dniu, jaki mieliśmy wczoraj. Teraz możesz się

położyć i spać dalej; ja się już wywczasowałem, obejmuję więc straż.

O nie, nie, odparł Ludwik, i ja się już czuję na siłach, a znużenie ustąpiło zupełnie.

Zresztą zdaje mi się, że dzień już nie daleko, dodał Jerzy. Mnie już dobrze, jak po najdłuższym śnie.

Mnie także! Mnie także! zawołali tamci. Zaglądnijmyż, co się tam zewnątrz dzieje.

Za Ludwikiem szli wszyscy do góry. Przekonali się, że już świtało, lecz przekonali się również, że niestety przez noc, nie o wiele się zmienił stan powietrza Burza przywitała ich groźnie, a śnieg sypał jak pierwej. Wśród niepokrytych dachem murów klasztornych, leżało miejscami śniegu nad dwie stopy, tak, że ledwo z ciężką biedą dostali się chłopcy do okiennych otworów. Tu, na otwartem miejscu przywitała ich burza z podwójną gwałtownością i strąciła do środku budynku. Nie podobna było dotrzymać jej kroku; musieli przeto ustąpić i schronić się napowrót do podziemnej kryjówki, gdzie zbici z tonu, w rozpaczliwem usposobieniu, usiedli znowu przy ogniu.

To coś na złe się zanosi! rzekł Karol po

kilku chwilach bolesnego milczenia. Trudno się będzie dostać pod te dęby do żołędzi.

Tak coś wygląda, ale potrzeba koniecznie, odrzekł Ludwik zadumany. Czuję głód! Prawie od dwudziestu czterech godzin nie mieliśmy niczego w ustach, a zdaje mi się, że i wyście nie wiele sytsi odemnie.

Rozumie się! Ja także jestem okropnie głodny, rzekł Jerzy wzdychając, na co Karol, siedząc smutny i milczący, potakiwał tylko głowa.

Nic tu nie pomoże rozprawiać, dodał stanowczo Ludwik, potrzeba nam koniecznie spróbować. Skargi i narzekania nie pomogą wcale. Weźmy się rychło do dzieła, to będzie najlepiej.

Ale jak? zapytał Karol. Tam śród burzy trudno się będzie utrzymać na nogach.

To prawda, odrzekł Ludwik, dlatego trzeba użyć innego sposobu. Musimy w najgorszym razie, pod śniegiem szukać drogi.

Karol i Jerzy słuchali ze zdumieniem.

Doskonały pomysł! dodał ostatni. Toby się udało, gdybyśmy mieli kilka łopatek.

O, o te się postaramy! rzekł Karol. Ludwiku, daj mi twoją siekierkę. Dwa grube pręty brzozowe, w dole rozwarte i w plecionkę zaopatrzone, zastąpią nam łopaty, zwłaszcza, że

śnieg jest bardzo miękki i bez trudności da się usuwać.

Kilka młodych brzózek znalazło się łatwo. Karol je przyciął należycie, a Jerzy, jako wprawny koszykarz, rozchodzące się u dołu, w kształcie widełek końce, zasnuł plecionką z brzozowego pręcia. W niespełna pół godziny, były gotowe trzy lekkie łopatki, które Ludwik uznał za dobre. Próba, zadowoliła też dostatecznie.

A więc do dzieła! rzekł Ludwik. Musimy sobie drogę torować tak, żeby nam wiater nie dął w twarz; łatwiej mu się oprzemy. Żwawo więc.

Do ognia dorzucili drew, żeby im nie wygasł, opuścili zwalisko i zaczęli się odważnie wkopywać w śniegu. Przekonali się wprawdzie wkrótce, że z wielkiemi przeszkodami mają do czynienia, starali się jednak, pokonać takowe, pracując niezmordowanie przez kilka godzin. Śnieg, który na bok odrzucili, służył im za obronę przez burzą; tam zaś, gdzie dla znacznej wysokości nie dał się przekopać, wkopywali się dołem. W kilku wprawdzie miejscach spadł podkopany śnieg na nich, lecz to ich nie odstraszało, owszem zachęcało do podwojenia pilności. Po niezmiernych trudach, udało im się

nareszcie dostać na miejsce zarosłe dębami, gdzie się spodziewali dobrego żniwa, a oczekiwanie to nie zawiodło ich wcale, gdyż po krótkiem poszukiwaniu znaleźli tu tyle żołędzi, ile tylko we wszystkich swoich kieszeniach pomieścić zdołali; zadowoleni przeto, powrócili do zamczyska. Ogień jeszcze płonął; wrzucono więc żołędzie w żar, a gdy się upiekły, mieli obfitą ucztę, nie wybredną wprawdzie, ale jak na zaspokojenie dokuczliwego głodu, dostateczną. Kilka razy udawali się jeszcze mozolnie wykopaną drogą pod dębinę, i nazbierali do wieczora tyle żołędzi, że nią cały jeden kąt swojej kryjówki zapełnili. Głodowej śmierci przestali się też odtąd obawiać, gdyż o tych żołędziach, mogli śmiało cały tydzień przebyć w zwalisku.

Noc nadeszła i minęła, a poranek, nie był dla biednych więźniów zwiastunem lepszej doli. Śnieżyca trwała wciąż, a srożyła się tak gwałtownie, że zupełnie prawie zawiała napowrót drogę, z takiem wysileniem wykopaną.

Dobrze, że jej nam już nie trzeba, rzekł Ludwik, powróciwszy z dworu. Naszych żołędzi, wystarczy nam przynajmniej na sześć lub siedm dni, a do tego czasu przecież burza ustanie.

Więc tam jeszcze ciągle tak samo, jak było? zapytał Karol.

Tak, jak wtedy było, odrzekł Ludwik. Śnieg zresztą mało mię obchodzi, żeby tylko ta straszna zawierucha ustała, bo inaczej, ani kroku postąpić.

Przekonaliście się przecież, rzekł Jerzy, ile to nas wczoraj pracy i mozołów kosztowała podróż do dębów na tak małej przestrzeni. Jakżeż długo pracować by trzeba, żeby się w ten sposób przez śnieg aż do wsi przekopać.

Eh, toby się nam nawet i nie udało, od rzekł Ludwik, uśmiechając się. Właśnie po śniegu trzeba nam będzie iść!

Tak! i co krok zapadać w śnieg po szyję, rzekł Karol, potakując głową. Hm... o tem ani mowy! Ludwiku, mybyśmy z miejsca nie ruszyli.

Rozumie się, że w naszem obuwiu, nie, odparł Ludwik. Ale czyż nie pamiętacie, co nam nasz pan nauczyciel przed Bożem narodzeniem opowiadał, o zimowych sandałach, w których można chodzić po najgłębszym śniegu? A co, rozumiecie mnie teraz! Otóż, o tem właśnie myślałem. Obaczycie, że się uda; spróbujmy tylko.

A w jakiż sposób przyjść do takich sandałów? zapytał Karol.

W taki, jak do łopatek przyszliśmy. Dla Jerzego będzie to igraszką, zrobić z brzozowego pręcia plecionkę, którą sobie do obuwia przywiążemy i rzecz skończona.

Toć już spróbuję i to natychmiast, rzekł Jerzy. Mamy przecież pręcia, dzięki Bogu, na setki plecionek.

Żwawo więc wziął się do roboty, Karol z Ludwikiem pomagali mu, dobierając najlepszych pręcików i przycinając je stosownie; Jerzy zaś nietylko splatał plecionki, lecz zaopatrywał je tak zgrabnie w poprzeczne paski, że tylko nogę trzeba było włożyć, chcąc je użyć. Skoro tylko pierwsza para była gotowa, chciał Ludwik zrobić próbę, na co się tamci dwaj oczywiście zgodzili. Próbę taką można było śmiało zrobić wewnątrz murów, gdzie także sporo śniegu się znajdowało, a przed burzą jako tako było się zabezpieczonym.

Wyszli więc. Ludwik ubrał sandały i chodził ku wielkiej radości po największym nawet śniegu śmiało, znacząc ledwo na dwa cale głębokie ślady. Każdy z nich chciał się sam o tem przekonać, czy będzie w nich mógł chodzić do-

brze po śniegu, co się wszystkim jak najlepiej udało. Jednakże lekkie ich odzienie, nie pozwalało dłuższych doświadczeń na mrozie. Dlatego, skierowali się do powrotu, gdy tymczasem Karol, który szedł ostatni, wydał okrzyk zdziwienia nawołując tamtych, żeby się zatrzymali.

Patrzcie, patrzcie! zawołał, wskazując na jakiś przedmiot, leżący w śniegu którego dla zawieruchy nie można było wyraźnie rozpoznać.

Chłopcy wypatrzyli się. Za murem, ale tuż pod jednym z okiennych otworów, szamotało się coś, stękając.

Siekiery! krzyknął Ludwik. Na miłość Boga, dajcie mi moją siekierę! Widzę już teraz, co się święci Nieszczęśliwy jeleń! Musimy go obronić.

Karol poskoczył szybko po schodach do skłepienia i wyniósł stamtąd, w okamgnieniu siekierę, którą mu Ludwik gwałtownie wydarł z rąk, żeby jej użyć do ciekawego wprawdzie, ale oraz smutnego widowiska, które ledwo o dziesięć kroków od nich odbyć się miało. Piękny, wspaniały jeleń wskoczył przez okienny otwór do środka zamczyska i rzucał się rozpaczliwie, chcąc się uwolnić od jakiegoś wroga,

który siedząc na nim, wpoił w jego szyję pazury, a morderczemi swemi zębami przegryzał biedne zwierzę.

To ryś! rzekł Ludwik półgłosem do swoich przyjaciół. Widziałem już przed dwoma laty takiego rabusia u leśniczego, który go był zastrzelił. Tego jelenia uratować się już nie da, ale niech go przynajmniej pomszczę. Ach wściekły żarłoku! Patrzcie, jak powalił jelenia! Ależ ja ci tego nie daruję!

Stękając okropnie dał biedny jeleń jeszcze kilka rozpaczliwych susów, chcąc z siebie zrzucić okrutnego nieprzyjaciela, ale usiłowania jego były daremne. Krwi mu ubyło, zadrżał, odetchnął raz jeszcze głęboko i runął na śnieg, krwią swoją własną obficie zbroczony. Ryś wpił się w biedne zwierzę szponami i zębami i wysysał mu z szyi ciepłą krew tak żarłocznie, że się ani spostrzegł co się obok niego działo. Teraz przyskoczył, Ludwik w sandałach lekko i cicho, stanął tuż przy rabusiu, podniósł siekierę w górę i ugodził nią z całej siły w głowę rysia, który wydawszy dziwny jakiś wrzask, zeskoczył z swej ofiary, ale tylko na to, żeby się stoczyć na śnieg. Nim się ułożył do skoku, spotkało go kilka jeszcze cięć, z których jedno

przecięło mu gardziel. Jak przed chwilką z jelenia, buchała teraz na śnieg krew z rysia który go drapał, pasując się ze śmiercią. W kilka atoli chwil, leżał już spokojnie u nóg odważnego młodzieńca, który w swej nieświadomości z pewnością ani się domyślał, na jakie się naraża niebezpieczeństwo. Gdyby pierwsze jego cięcie, nie było tak odurzyło rabusia, byłby jak biedny jeleń padł offarą jego pazurów; ale Ludwik upojony zwycięstwem nie zastanawiał się wcale nad tem, przywołał tylko wesołym okrzykiem swoich towarzyszów, żeby swoją radość z nimi podzielić.

Otóż, macie go! krzyknął nie posiadając się z radości. Dałem mu dobrą nauczkę; pewnie już nie wstanie, żeby się pastwić nad niewinną leśną zwierzyną. Biedny jeleń! Jaki piękny! Ach, jakżeż mi go żal było widzieć ginącego pod szponami kata! Alem się zemścił za niego! Wróg jego śmiertelny i zabójca leży obok niego zabity! Jakżeż się zdziwi stary leśniczy, gdy mu tę przygodę opowiemy! No, ależ patrzcie na tego niecnotę, co to za tęga sztuka! Ej! kto wie coby się ze mną było stało, gdybym go był od pierwszego razu tak uczciwie nie ugodził! Hm... żebyście to wy byli wi-

dzieli, jak on mię mierzył oczyma, wijąc się po śniegu! Aż strach zbierał patrzeć na niego, ale pomyślałem: »odważnie! Ty albo ja! Jeden z nas musi w to uwierzyć, że mu się trzeba pożegnać z życiem«, ale los padł na niego, jak widzicie!

Karol z Jerzym podziwiali potwora i oglądali ze strachem jego białe, ostre zęby i długie krwią jelenia zabarwione pazury

Ty Ludwiku miałeś widocznie szczęście, rzekł Jerzy. Jabym się był doprawdy nie odważył, rozpoczynać z nim walki! Lecz co zrobić z temi zwierzętami?

Zabierzemy je z sobą do naszego podziemia, odrzekł Ludwik. Z rysia zdejmiemy skórę, widziałem taką u leśniczego, a z jelenia będziemy mieli nie jedną dobrą pieczeń. Żal mi wprawdzie nieboraka, ale dlaczegoż mielibyśmy go tu zostawić, kiedy już jest zabity. Teraz już z głodu nie pomrzemy.

Ale czy nam wolno przywłaszczyć sobie jelenia, zapytał sumienny Karol.

O to się niepotrzebujesz troszczyć! odrzekł prędko Ludwik. Najpierw dlatego, że nie myśmy go ubili, a powtóre, że skórka rysia stanie za dwa takie jelenie. Wiem, że leśniczy dostał

za taką piętnaście bitych talarów. Bądź więc spokojny! W najgorszżm razie moglibyśmy za jelenia zapłacić, lecz wątpie, czyby kto od nas tego żądał, jeżeli opowiemy, wśród jakich okoliczności dostał się w nasze ręce.

Gdy Ludwik wspomniał o pietnastu talarach Jerzy natężył słuch, a rysy jego twarzy ułożyły się mimowolnie tak, że z nich można było wyczytać wyraz, jakby zazdrości i dość wybitną oznakę chciwości; ale po kilku chwilach oblicze jego przybrało znowu ułożenie spokojne.

Tak, tak, Ludwik ma słuszność, wtrącił. Nieboszczyk jeleń należy niewątpliwie do nas.

Zresztą gdybyśmy jego mięsa nie zużytkowali, zepsułoby się lub też posłużyłoby za żer lisom i dzikiemu ptactwu, niktby nam tego nie przebaczył, więc dalejże z nim na dół, bo tu nie bardzo przyjemnie na wietrze i śniegu. Bierzmy go!

Nie trzeba ich było długo zmuszać do tego. Chwycili żwawo jelenia, który ważył co najmniej sto funtów i zanieśli z wielkiem rozumie się natężeniem, do piwnicy. Z mniejszym trudem wnieśli też tamże i rysia, poczem odcięli kawał mięsa z jelenia na pieczeń. Karol

przyrządził sprytnie z grubego pręta rożen i obracał wetknięte nań mięso nad ogniem, gdy tymczasem Ludwik z Jerzżm zajęci byli zdejmowaniem czerwonobrunatnej skóry z rysia, przy czem im wielką usługę wyświadczyły, ich małe kieszonkowe nożyki. Prawie równocześnie z Karolem ukończyli swoją robotę Skórę rozciągnęli na dwóch żerdziach, żeby się nie skórczyła, nieużyteczne ścierwo wyrzucili na śnieg, umyli ręce, oczyścili z krwi nożyki i pospieszyli posłuszni nawoływaniu Karola, wziąć udział w przygotowanem pożywieniu. Nie trzeba zdaje się nawet mówić o tem, że im ta pieczeń po suchej żołędzi przewybornie smakowała, toż nie mogli się nacieszyć, że im się właśnie w tak stosowną porę nadarzyła taka łyszna zdobycz. Nie spostrzegli nawet braku soli, której niestety nie było w zamczysku. Woń pieczeni zaostrzyła apetyt, a głód pokrył wszelkie braki.

Ale, ale, zagadnął Jerzy składając swój nożyk, a cóż będzie z tymi pietnastu talarami które, jak twierdzi Ludwik, możnaby otrzymać za skórę rysia? Gdy je dostaniemy, pójdą na troje, jak jeleń?

Wstydź się Jerzy: jak możesz o to pytać! odrzekł prędko niezadowolony Karol, jeleń musiał się stać naszą wspólną własnością, ale ryś, jakoteż i pieniądze za skórę, jeżeli ją spieniężysz, należą do Ludwika. To się samo przez się rozumie: wszak on go ubił, a nie my!

No, no, ja się o to dobijać nie myślę, odparł zakłopotany Jerzy, sądziłem tylko, że kiedy teraz wszystko znosimy wspólnie, więc i...

— Powiedz otwarcie, co myślisz, rzekł Ludwik widząc, że Jerzy urwał.

No, zdawało mi się, że tam, gdzie jedno nieszczęście, powinna też być wspólna radość, dokończył Jerzy, zresztą poznaję już teraz, że mi się z tej skóry, nic nie oberwie.

A to dobre! wtrącił porywczo Karol.

Cicho, cicho! Między nami trzema, nie powinno być żadnych swarów zwłaszcza jeszcze tu, na tem miejscu, gdzie nam zeszłego dopiero lata stary leśniczy pamiętną wsypał burę, rzekł Ludwik uśmiechając dobrodusznie. słuszność Karolu tym razem po Jerzego stronie. Wspólnie cierpieliśmy i cierpimy jeszcze, wspólnie też powinniśmy się cieszyć, jeżeli będzie czem. Przypadek to tylko zrządził, że ja ubiłem rysia, ale to samo mógł śmiało każdy z was zrobić, gdy-

byście byli tylko wcześniej, niż ja, pomyśleli o siekierze. Rozumie się przeto, że jak jeleń, tak też i ryś jest wspólną naszą własnością a to, co dostaniemy za skórkę, rozdzielimy na trzy równe części, pomiędzy siebie. Widzisz więc Jerzy, że i tobie się coś oberwie!

Jerzy zawstydził się nieco, lecz oraz ucieszył się widocznie, gdyż zacierając ręce, śmiał się z wyrazem zadowolenia na całej twarzy. Karol zaś ciągle objawiał swoje niezadowolenie i sprzeciwiał się temu, co zresztą nie było jego zwyczajem Widać, że bardzo do żywego zostało dotkniętem jego poczucie sprawiedliwości, kiedy nie mógł zmilczeć.

Ależ to głupstwo, Ludwiku! rzekł... ja miałem pierwej, niż ty siekierę w rękach, a jednak ani mi przez myśl nie przeszło puścić się z nią na rysia. Toż samo i Jerzy: słyszałeś przecież jak sam twierdził przed chwilą, że onby się nie odważył z tym potworem walczyć. Więc mówiąc krótko, a węzłowato: ja ani grosza nie wezmę ztych pieniędzy, ponieważ na nie nie zasłużyłem ani ja, ani Jerzy.

Jaki ty dziwak jesteś Karolu, odrzekł Ludwik łagodnie i uprzejmie, podczas gdy Jerzy mrucząc coś pod nosem, wbił wzrok w ziemię,

gdyby się i Jerzemu zachciało podobnych użyć wymówek, mógłby n. p. powiedzieć: „Beze mnie nie bylibyście się dostali do żołędzi, bo żaden z was nie zdołałby sporządzić dobrej łopatki!“ albo „Beze mnie nie przyszlibyście byli w posiadanie jelenia i rysia, bo gdybym ja wam był nie splótł sandałów, nie wyszlibyście byli na śnieg!“ albo „te sandały moje, dla was mi się ich robić nie chce: obaczymy, jak się dostaniecie do domu, gdy ustanie śnieżyca!“ Cóżby wtedy było, Karolu. O, nie, nie! Miłość za miłość i t., co nas tu w tem samotnem ustroniu spotka, złe czy dobre, ma być wspólnym naszym działem. Musisz się na to zgodzić Karolku!

Karol potrząsał głową i pomrukiwał jeszcze coś o „zazdrości i chciwości,“ ale ostatecznie nie miał już zarzutów na zbicie przekonywających dowodów Ludwika.

Ha, niechże więc i tak będzie! zakończył. Podzielcie się obydwa, ale mnie dajcie spokój. Ja nie mam prawa należeć do spółki i nie wezmę ani centa.

Jakoś to już będzie, odrzekł Ludwik z uśmiechem. Idzie przedewszystkiem o to, kiedy się już raz ta śnieżyca zakończy, żebyśmy mogli wybawić z trwogi naszych rodziców, któ-

rzy się martwią niewiedząc, co się z nami dzieje.

Tym zręcznym zwrotem mowy zakończył Ludwik spór, kierując myśl towarzyszów na przedmiot, który ich bardziej obchodził, niż sumka, której się spodziewali za rysią skórę. Nie było też już więcej o niej mowy, a zgoda powróciła na zawsze.

Gdyby się wypogodzić chciało! Ale niemógł Ludwik wynaleźć słowa, na zaklęcie burzy, która się i teraz jeszcze, tak jak i przedtem srożyła, zawodząc nadzieję biedaków, którzy często wychodzili na zwiady. Nawet śnieg nie przestał sypać; trzeba więc było wyczekiwać cierpliwie, chociaż na cierpliwość była to już za ciężka próba. Jednakże byłby to krok aż nadto zuchwały, puszczać się z powrotem w taką burzę, co wierzchołki drzew jak trzcinkę druzgotała, a stare dęby i sosny wyrywając z korzeniem, miotała z pagórków daleko w doły. Jeżeli takie olbrzymie drzewa nie miały siły oprzeć się burzy, zkądżeż mieli jej nabrać słabi chłopcy!

Szóstego nareszcie wieczora przyniósł Karol nowinę, która pokrzepiła nieco upadłych na duchu młodzieńców. Z wyrazem radości w oczach

oznajmił, że śnieg już ustał i że gdzieniegdzie z po za chmur wyglądające gwiazdki, zdają się być zwiastunami, wkrótce nastąpić mającej ciszy.

O tem i my się musimy przekonać, rzekł Ludwik poskoczywszy szybko do drzwi. Chodź Jerzy! Chodź Karolku! Daj Boże, żeby twoje spostrzeżenia nie zawiodły, bo mię już naprawdę pobyt w tem podziemnem więzieniu na dobre martwić zaczyna!

Wyszli i okrzykiem radości powitali gwiazdy, co jak przyjazne aniołów oczy spoglądały z po za chmur, które się jeszcze dość gęsto włóczyły po niebie. Śnieg przestał rzeczywiście padać; burza się wprawdzie nieco tyko ułagodziła, ale Ludwik zauważał, że się wiatr północnowschodni zmienił na południowowschodni. Była przeto już znaczna zmiana na lepsze, gdyż nie było śniegu i tego strasznego mrozu, od którego krew się ścinała w żyłach.

Dobrześ mówił Karolu, rzekł ucieszony Ludwik. Nastąpiło już przesilenie burzy, a jeżeli się wiatr do jutra jeszcze więcej uciszy, będziemy może nawet mieli odwilż!

Jabym się nawet założył o to, dodał Jerzy. Patrzcie, stare mury szronem się zaczynają pokrywać!

Ściany zwaliska były rzeczywiście jakby solą posypane; znak to niezawodny, że po długich mrozach, miało nastąpić łagodne powietrze. Z tą wesołą myślą zeszli chłopcy do swojej kryjówki ciesząc się niezmiernie, że się im może uda jutro, powrócić do swoich chat.

Radość im odebrała sen. Budzili się jeden po drugim, żeby tylko na nowo módz się przekonać o stanie powietrza. Żadnej nocy nie paliło się tak jasno i bez przerwy w podziemnej piwnicy, jak teraz, bo prawie co godzina wstawał któryś z nich, a skoro się przekonał, że coraz lepsza nastaje pogoda, dorzucał drew do ognia. Po północy, przyniósł nareszcie Ludwik wesołą nowinę, że pożądana i tak długo oczekiwana odwilż już nastąpiła, a srogą burzę zastąpił lekki wiatr. Nazajutrz więc, mieli już stanowczo opuścić swoje więzienie; dlatego spokójnie zmrożyli powieki, żeby pokrzepiającym snem ukrocić czas niewoli.

O świcie, wyszli znowu na zwiady. Powietrze było łagodne, mało że nie ciepłe. Wiatr dął nieco silniej, niż w nocy, ale dosyć łagodny. Ciepły deszczyk rosił drobniutko. a z pagórków spływał stopiony śnieg wązkiemi potoczkami

w dolinę, zbierając się tamże, w małe kałuże.

O, nagła zmiana! rzekł Ludwik. Jeżeli tak dalej potrwa, zamieni się jutro dolina w jezioro. Trzeba nam się spieszyć, żeby nam woda znowu nie chciała odciąć odwrotu!

Wszak nas tu nie trzyma, odrzekł Karol. Chodźmy!

Ubrali sandały, Ludwik wziął na plecy rysią skórę, Karol z Jerzym resztę mięsa z jelenia, do rąk wzięli kije, które Jerzy u dołu zaopatrzył w plecionki, żeby nie grzęzły w śniegu, i tak wybrali się z powrotem do wsi zapomniawszy nawet o śniadaniu.

Podróż szła nad wszelkie spodziewanie dobrre, tak praktycznemi okazały się sandały zwłaszcza, że śnieg już znacznie był ztężał przez odwilż. Po dwóch godzinach stanęli na krańcu lasu, a widok wioski z chatami podwajał ich pośpiech. Kiedy znalazłszy przy pierwszych zaraz chatach udeptaną ścieżkę, zrzucali sandały, zaszli im drogę niektórzy mieszkańcy wsi z radośnym powitalnym okrzykiem;

Karolu! Ludwiku! Jerzy! Żyjecie! To cud! Myśmy was już dawno mieli za zmarłych i nikt nie wątpił nawet o tem, że was snieg pogrzebał.

Głośne powitania zwabiły mnóstwo ludzi, a wszyscy otoczyli chłopców, dając im serdecznem uściśnieniem rąk, poznać swoją radość z powodu ich ocalenia.

A mój ojciec! zawołał Karol przyszedłszy do słowa. Gdzież jest mój ojciec, kochany sąsiedzie?

A mój? zapytał Ludwik. Powiedzcie nam, czy powrócili z lasu?

Po tych pytaniach nastąpiła głęboka cisza, a na twarzach stojących dokoła widać było zakłopotanie, gdyż wszyscy spuścili oczy w dół. Nareszcie odezwał się jeden z nich w te słowa:

Bog z wami dziatki! Taka była Jego wola, iż żaden z tych, co się wtedy wybrali byli do lasu, nie powrócił oprócz was. Niczego też od tego czasu nie słyszeliśmy o waszych ojcach!

Karol i Ludwik spojrzeli smutno po sobie, a rzęsiste łzy zrosiły im lice.

Ach! przeczuwaliśmy to i tegośmy się najbardziej lękali, wyrzekł Karol, zanosząc się od łkania, Bóg nas ocalił, żebyśmy takiego nieszczęścia dożyli!... Biedny mój ojciec!... Tak marnie zginąć!... Ach, jak to okropnie!..

Ach, na cóż rozpaczać! rzekł Ludwik tłumiąc swój żal. Być może, że się w taki sposób,

jak i my, uratowali! Musimy ich szukać po lesie!

Wieśniacy, ruszali głowami.

Myśmy codziennie szukali, rzekł z politowaniem sołtys, siwiutki starnszek Zaraz pierwszego dnia, wyruszyli silniejsi wieśniacy po południu z rydlami i łopatami i nie szczędzili sił i trudu, żeby się dostać w głąb lasu z pomocą nieszczęśliwym, ale śnieżyca była silniejszą od nich, musieli powrócić z niczem nie chcąc paść także ofiarą Myśleliśmy, że się to lepiej uda nazajutrz i wyszliśmy znowu, ale za słabe były nasze siły w stosunku do rozsrożonych żywiołów. Po kilku nadaremnych usiłowaniach, nie pozostało nam nic więcej, jak zdać się w pokorze na wolę Bożą.

Usłyszawszy to Karol i Ludwik, rzucili się sobie w objęcia i płakali głośno. Niejednego widza oko było załzawione, a serca wszystkich, wzruszylo serdeczne współczucie.

Uciszcie się dziatki, uciszcie! rzekł nareszcie stary sołtys ścikając im serdecznie ręce, macie jeszcze jednego Ojca nad obłokami, który was nigdy nie opuści. Myśmy już opłakiwali wasz zgon, nie mogąc utulić waszych matek, a oto! On was ocalił Idźcież do nich! Wasz

powrót pokrzepi ich siły i doda otuchy do zniesienia tamtego nieszczęścia!

Ach, nasze matki! Biedne matki! W jakiej że trwodze być musiały o nas, zawołali chłopcy, zanosząc się od płaczu.

Idźcież do nich! powtórzył sołtys, ujrzawszy was, przekonają się, że nieszczęście nie jest jeszcze tak okropne, jak się spodziewano. Idźcież dziatki, idźcie!

Poszli, gdyż własne ich serca bardziej ich do tego przynaglały, niż słowa sołtysa. Towarzyszyło im mnóstwo wieśniaków aż do miejsca, gdzie się ujrzeli z matkami, które już wyszły były na spotkanie i niespokojnym wzrokiem szukały swoich dzieci. W mgnieniu oka tuliły już macierzyńskie objęcia swoich synów, a stary sołtys, stojąc tuż przy nich, odkrywszy głowę i złożywszy dłonie, rzekł:

Widzicie, że Bóg jest miłosierny, a łaska Jego ma was w swej pieczy. Zachował nam przy życiu tych, których jużeśmy się nie spodziewali oglądać. Dziękujmyż Mu za to i wychwalajmy Ojca niebieskiego, którego drogi są niezbadane, a miłosierdzie trwa na wieki!...

IV.

Pierwszy krok w świat.

Po strasznej śnieżycy, nastąpiła tak silna odwilż, że przez kilka jeszcze następnych dni niepodobna było poszukiwać ciał nieszczęsnych wieśniaków, żeby je módz pogrzebać. Wody spływały z gór w ogromnej obfitości, strumyki i potoki wezbrały okropnie i wystąpiły ze swoich koryt, a gwałtowne ulewy podsycały tę powódź tak, że wszystkie niższe miejsca we wsi były zalane wodą. Dopiero po pięciu czy sześciu dniach, kiedy opadła woda, można się było, z ciężką biedą dostać do lasu, gdzie też znaleziono ciała biednych, co padli ofiarą rozigranych żywiołów. Przyniesiono je ztamtąd na wiejski cmentarz i pogrzebano uroczyście. Wszyscy mieszkańcy wsi, byli na tym smutnym obrzędzie, w czasie którego przemówił ksiądz pleban do biednych, osieroconych rodzin, w tak pocieszający sposób, iż od tej chwili wstąpiła otucha w ich serca. Po pogrzebie, powróciły wdowy z sierotami do swoich opustoszałych chat w głębokim wprawdzie smutku, lecz oraz z silnem

postanowieniem poddania się Bożemu rozporządzeniu.

Łzy bolu i sieroctwa płynęły jeszcze przez kilka tygodni, ale czas uśmierzył ich gorycz. Różne zresztą okoliczności stępiły ten cierń, co tak ostro i nielitościwie utkwił był w biednych sercach. Życie domagało się swoich praw, zmuszeni przeto byli nieszczęśliwi o przyszłości myśleć, skoro już smutnej przeszłości spłacili daninę, w żałości i smutkach.

Matki Ludwika i Karola były ubogie, a ubóstwo to, spotęgował jeszcze skon ich opiekunów, gdyż dla małoletności nie mógł ani Ludwik ani Karol prowadzić dalej rzemiosła swego ojca, a dziś już nie wystarczało na życie to, co im przyszło z ptaszków i rzeźby, chociaż przy zarobku ojców, były to piękne i pożądane dochody. Wspierali ich wprawdzie w pierwszych dniach sieroctwa, życzliwi sąsiedzi swoimi datkami, ale tak długo trwać to nie mogło; trzeba więc było koniecznie pomyśleć o tem, żeby módz stanąć o własnych siłach do walki z potrzebami życia. Ludwik i Karol nie zapominali też o tem, ale nie mogli nigdy przyjść na to, jakieby zajęcie mogło być dla nich odpowiednie, a oraz i popłatne. Do jednego za mało

sił jeszcze mieli, inne znowu, nie zapewniało dostatecznego utrzymania dla nich i ich matek.

Tak upływały tygodnie. Karol i Ludwik nie próżnowali wcale, lecz zajmowali się pilnie rzeźbieniem rozmaitych pięknych rzeczy z sosnowego lub lipowego drzewa; jednakże rychło poznali, że im to zajęcie nie może przynieść potrzebnych dochodów

Nadeszła wiosna. Cała przyroda odżyła znowu. W maju okryły się drzewa i krzaki jak zwykle, piękną zieloną sukienką, a ptaszęta rozpoczęły napowrót przerwane zimą pienia. W takim to właśnie czasie wybrali się Karol z Ludwikiem na przechadzkę w góry i skierowali się mimowolnie ku zamczysku, z którem, tyle smutnych dla nich łączyło się wspomnień. Nic się tu nie zmieniło Jak pierwej tak i teraz błyszczał stawek jak srebrna tarcza od słonecznych promieni; krzaki i zarośla zamszone dokoła klasztoru, ubrały się napowrót w piękne, różnobarwne kwiecie, co słodką wonią napawało powietrze; śliczna, świeża, młodziutka zieloność lasu, oko widza rozkoszą napawała; wiewiórki skakały żwawo, kosy gwizdały, kukułka wesoło kukała w oddali wszędzie i we wszystkiem stworzeniu znać

było radość i pełność rozkoszy, tylko nie w sercach biednych sierot. Te usiadłszy tuż przy sobie na znanej kamiennej ławie, oddawały się ciężkim myślom, nie zważając wcale na otaczającą ich, tak cudownie odmłodzoną, przyrodę. Obaj byli wczoraj w mieście z płodami pilnej swej pracy, lecz tak mało mieli odbytu, że ledwo z kilku groszami powrócili do domów.

Cóż się teraz z nami stanie, Ludwiku? zapytał nareszcie Karol, po długiem milczeniu.

Ludwik westchnął i potrząsł smutnie głową.

Myślałem, myślałem, mówił dalej Karol, nad sposobem wyżywienia mej matki, i.. nie wymyśliłem żadnego.

Ja toż samo! odrzekł Ludwik z cicha. Gdybyśmy przynajmniej o kilka lat starsi byli, moglibyśmy się postarać o miejsce u jakiego gospodarza, ale o tem teraz ani mowy być nie może. Któż nas przyjmie prędzej, niż za dwa lub trzy lata?

Tak! Albo, żeby to już przynajmniej było lato, możnaby znowu zbierać poziomki, co jeszcze najlepiej popłaca, ale tu jeszcze nie jeden minie tydzień, zanim się ich doczekamy, a moja biedna matka ma już tylko ledwo na kilka dni

żywności. Ach, Ludwiku, przecież to smutno, być takimi ubogimi, jak my!

Niezawodnie, odrzekł Ludwik, ale wiesz ty kochany Karolu, że wszyscy nie mogą być bogaci. Zresztą: nie zawsze bogactwo uszczęśliwia, jak mówi ksiądz proboszcz. Ja byłbym już i z tego zadowolony, gdybym mógł znaleźć jaki taki sposób do życia!

Czyż go w istocie znaleźć nie możesz, Ludwiku? odezwał się uprzejmie ktoś tuż za nami.

Chłopcy zerwali się prędko i obejrzawszy się, ujrzeli starego Antoniego, który ich serdecznie powitał.

Pan leśniczy! zawołali.

Tak jest, ten sam, co to tak zawsze nieproszony i niespodzianie się zjawia, jak pewien sławny jenerał Ziethen, odrzekł poczciwy starowina. Siedźcie, siedźcie proszę! Ja się tu także do was przysiądę i pogadamy trochę to o tem, to o owem. Idąc przez las, myślałem właśnie o was, ale wpadło mi namyśl, że was tu może znajdę. Dobrze się też stało, bo inaczej musiałbym was był szukać po wsi, gdyż mam dla ciebie Ludwiku dobrą nowinę, której ci zaraz będę mógł udzielić.

Dobrą nowinę? i to dla mnie, panie leśniczy? odrzekł Ludwik, powątpiewając.

Tak, tak! dla ciebie, mój chłopcze! Cóż, czy się nie domyślasz czego o rysiej skórze? Otrzymałem wczoraj z urzędu lasowego rozporządzenie wraz z poleceniem, żebym ci wypłacił dwadzieścia talarów za to, żeś tak szczęśliwie położył rysia.

Czy to być może! zawołał Ludwik uradowany. Ach, jakie to szczęście! Ciesz się Karolku. Pożegnamy się z biedą na spory kawał czasu!

O, tak, tak! Cieszcie się niebożęta, rzekł serdecznie leśniczy, bo to jeszcze nie koniec, moich wesołych nowin. Te dwadzieścia talarów są dopiero nagrodą za ubicie rysia, ale jest, czyli raczej była ieszcze skóra, którą książę pan mój miłościwy, kupił za dwadzieścia talarów. Wszystkie te pieniądze, t. j. czterdzieści talarów, znajdują się u mnie i mogą być natychmiast odebrane. A co, czy nie dobra nowina?

O, bezwątpienia, bardzo dobra i szczęśliwa nowina! odrzekł wesoło Ludwik, zdziwiony i nieco zmięszany. O, gdybyśmy o tem pierwej byli wiedzieli, Karolu, nie potrzebowalibyśmy się byli tak smucić i rozpaczać prawie. Ale

czemużeś ty jeszcze ciągle smutny? Cieszże się przecież! Mamy, aż do poziomek, dość pieniędzy i przynajmniej całe lato zabezpieczone.

Karol skinął głową.

Cała ta suma pieniężna, jest wyłącznie twoją własnością, mnie się z niej nic nie należy. Lecz wierz mi, że się twojem szczęściem szczerze cieszę. Tyś je sobie wysłużył twoją odwagą.

Nie gniewajże mnie Karolu! odrzekł Ludwik. Te czterdzieści talarów są naszą wspólną własnością. Ty musisz wziąć swoją cząstkę tak, jak i Jerzy, bośmy tu razem wtedy biedowali.

Karol chciał się jeszcze spierać o to, ale leśniczy zawyrokował, że Ludwik ma słuszność, przy czem dał mu zasłużoną pochwałę.

Podzielcie się dziatki temi pieniędzmi tak, jak, o ile mi się zdaje, niejedno jeszcze w życiu będziecie wspólnie dzielili. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że w ostatnich czasach, przemyśliwałem wiele o waszym losie i wpadłem na wcale nie zły pomysł. Zależy rzecz cała od was, tj., czy się na to zgodzicie, a skoro się dobrze weźmiecie do dzieła, zarobicie daleko więcej, niż zbieraniem poziomek i rzeźbą.

A czy wolno zapytać panie leśniczy, co to za pomysł? zawołali obaj chłopcy zaciekawieni.

Oczywiście, gdyż to się was tyczy, odrzekł uprzejmie staruszek, słuchajcież więc. Za trzy tygodnie, albo może już nawet i za czternaście dni, zaczyna się sławny lipski jarmark, na którym mnóstwo bogatych ludzi z różnych stron świata załatwia swoje sprawy. W czasie tego jarmarku, przepełnione wieczorami wszystkie gospody, gdzie też nie braknie i takich, co muzyką rozweselają gości, za co nie złe odbierają datki. Przed laty, byłem i ja na lipskim jarmarku, a to, o czem wam opowiadam, na własne widziałem oczy. Bogaci, co tyle w czasie jarmarku zarabiają pieniędzy, nie żałują kilku groszy dla tych, którzy im uprzyjemniają wieczór. Otóż przyszło mi na myśl, czybyście i wy, nie mogli udać się pod tę porę do Lipska, żeby sobie w ten sposób zarobić pieniędzy. Bać się nie ma czego. W każdym razie uzbieracie tyle, żebyście tam mogli wyżyć, a jeżeli wam się poszczęści, złożycie nawet piękną sumkę talarków. Ja stary nie jestem znawcą muzyki, ale to wam muszę przyznać, że mi się żadna gra na skrzypcach i cytrze tak nie podoba, jak wasza, zwłaszcza wtedy, kiedyście mi tu zeszłe-

go lata rozmaite śliczne piosenki grali i nucili. Spodziewam się, że i w Lipsku przypadnłe to ludz om do smaku. Ty Karolu grasz pięknie na cytrze, a w dodatku masz wcale miły głos, a ty Ludwiku, umiesz dobrze dąć na flecie, zresztą i Jerzemu trzeba to przyznać, że doskonale wygwizduje na listku i dobrze włada smyczkiem. Pomyślcie dziatki! Mnie się zdaje, że to plan nie zły, wszak wiecie, że jaka praca taka płaca. Jestto wprawdzie tylko mój pomysł, ale sądzę, że nie doznacie zawodu, skoro się raźno weźmiecie do dzieła.

Karol i Ludwik spojrzeli po sobie, a z ich twarzy można było wyczytać, że im się ta rada starego przyjaciela podobała.

Cóż myślisz, Karolu? Zapytał Ludwik. Jabym się na to zgodził;

I ja także, odrzekł szybko Karol. Ale, żeby nas tylko nie wyśmiali ludzie, nas wiejskich nieuków!

O tem śmiem powątpiewać, rzekł stary leśniczy stanowczo i z przekonaniem O wyśmianiu, ani mowy tu być nie może. Dobrych ludzi, jest jeszcze przecież więcej niż złych, a każdemu, kto tylko ma serce, muszą się koniecznie podobać wasze rzewne piosnki. Zresztą

ja was nie namawiam. Zastanówcie się nad tem dobrze, zasięgnijcie rady waszych matek, oznajmcie to Jerzemu, a potem możecie sobie postąpić, jak się wam podoba. Na wypadek zaś, gdybyście się na to zgodzili, chciejcie mię o tem uwiadomić. Rozumiecie?

Chłopcy przyrzekli chętnie i naradzali się jeszcze nieco w tej sprawie. Obaj zgodzili się rychło na podróż do Lipska, ale pytanie, co na to powiedzą ich matki i Jerzy.

O tem możemy się natychmiast dowiedzieć, rzekł Ludwik, chodźmy, dziś jeszcze, pomówimy z nimi.

Pożegnali starego leśniczego i pospieszyli co tchu do wsi, gdzie najpierw wyszukali Jerzego. Temu, aż oczy z radości się zaiskrzyły i oświadczył krótko i węzłowato usłyszawszy tę nowinę, że się na nią zupełnie zgadza, z matkami, trudniejsza była sprawa, ale skoro się dowiedziały, iż każdy z nich miał dostać po kilkanaście talarów za rysia, przystały i one nareszcie. Ten grosz, zapewniał im żywność, aż do czasów poziomkowych, a dotąd spodziewały się już na pewne, powrotu swoich dzieci z Lipska. Do stracenia nie mieli niczego, owszem, należało się spodziewać, że może nawet po

kilka talarów przyniosą z wielkiego miasta do domu.

Postanowienie zapadło rychło, a nazajutrz rano, mieli młodzi biedacy rozpocząć swoją artystyczną podróż. Potrzebne przygotowania poczyniono jeszcze tego samego wieczora za wiedzą i z pomocą leśniczego, który im też wypłacił ich należytość za rysia. Pieniądze rozdzielono, przygotowano także instrumenta muzyczne.

Niech was pan Bóg prowadzi! wyrzekł wzruszony starzec, żegnając młodych muzyków na drogę, życzę wam z serca powodzenia. Daję wam list, który wam się bardzo może przydać; nie zgubcie go. Przy dobrem i złem powodzeniu trzymajcie się razem i żyjcie w zgodzie. Miejcie zawsze Boga przed oczyma i w sercu, a strzeżcie się, żebyście nie zboczyli z prawej drogi. Nie zapominajcie też o tem, co wam już tyle razy mówiłem, że jaka praca, taka płaca! Rzetelność i prawość pomaga i daje szczęście, lekkomyślność i grzech gotują zgubę! Bądźcie mi zdrowi, a Bóg niech będzie z wami w szczęsnej i złej chwili.

Noc minęła, zawitał piękny, wiosenny poranek, a z nim i chwila rozczulającego poże-

gnania matek i rodzinnej wioski. Rozpoczęli podróż. Zrazu szli w milczeniu, gdyż ból spowodowany rozłąką, wezbrał bardzo w sercu, szczególnie Karola, który nie jedną łezkę wylał potajemnie, kiedy już spory kawał za sobą, zostawili małe chatki matek. Zwolna jednakże uspokoili się, dzięki ożywczemu działaniu jasnobłękitnego nieba i świeżego powietrza, a Jerzy, na którego obliczu najmniej się odbijała tęsknota za swoimi, zanucił nawet wesołą piosnkę, której tamci z początku niechętnie tylko, później zaś z pełnej wtórzyli piersi. Odtąd szła już cała podróż raźniej, aż skończyła się pier wszego dnia przybyciem do jakiegoś łaonego miasteczka, gdzie postanowili nasi podróżni przenocować. Na rogatce zapytał Jerzy śmiało, w której gospodzie mogliby tanio przenocować i otrzymał w odpowiedzi:

»Pod jeleniem, o jakie sto kroków stąd, tanio i wygodnie!

Znalazłszy to miejsce, zapytali nie śmiało, czy niemogliby zostać na nocleg i posilić się. Gospodyni w starszym już wieku, ale czerstwej jeszcze i rumianej twarzy, do której się z tem zapytaniem udali, zmierzyła ich od stóp do głowy.

A któż wy właściwie jesteście? zapytała.

Jerzy odrzekł, że są grajkami i idą do Lipska, żeby tam w czasie jarmarku grać po gospodach.

A czy macie pieniądze na opłacenie kosztów? zapytała powtórnie gospodyni. Trudno bowiem, domyśleć się po was tego, a tu trzeba się mieć na baczności.

Biedni młodzieńcy spojrzeli nieśmiało po sobie i zarumieniwszy się, spuścili wzrok na ziemię. Wtem wyjął Ludwik swoją sakiewkę i pokazał ją gospodyni

No, to dobrze, odrzekła uśmiechając się. Widzę, że mię nie chcecie wyzyskać i oszukać, gdyż macie czem zapłacić. Może też uda się wam i tu co skorzystać, obaczymy. A cóż wy grać umiecie, młodzi ludzie?

Nie wiele, odparł Ludwik, ale przecież kilka ładnych kawełeczków. Ten nasz towarzysz Karol umie także ładne piosnki śpiewać przy cytrze, a my mu przy tem wtórujemy; ja na flecie, a Jerzy na skrzypcach i głosem także, jednakże już nie tak pięknie jak Karol.

No, będziemy słyszeli co wy umiecie, rzekła gospodyni. Wejdźcie tymczasem do środka! Chcecie może coś zjeść? Ależ prawda

żeście już o tem wspominali. Postaram się zaraz o zaspokojenie waszego głodu i pragnienia, a potem, no, jakoś to będzie.

To rzekłszy, wprowadziła ich do obszernego gościnnego pokoju, gdzie skromnie w kącik się wcisnąwszy, siedzieli zakłopotani, spoglądając po sobie.

Żeby nas tu tylko nie zdarli, rzekł Ludwik westchnąwszy, gospodyni tej, nie wiele miłosierdzia patrzy z oczu.

Ha, trzeba czekać, odrzekł Karol, a Jerzy kiwając głową, nadmienił, czy nie lepiej byłoby, inną jaką wyszukać gospodę. Lecz na to nie zgodzili się Karol i Ludwik, gdyż nie odważyliby się już byli, po zamówieniu się u gospodyni, opuścić jej dom Nie minęło pół godzinki, aż tu wchodzi gospodyni ze sporą misą klusek i mięsa i z dzbankiem wody i stawia to wszystko przed nimi na stole.

Pozwolcie sobie, rzekła dość uprzejmie. Zdaje mi się, że dość dla was będzie tego.

Kluski wyglądały pulchniutko i drażniły zapachem zmysł powonienia, toż nie długo dali się prosić nasi zgłodniali podróżni do jedzenia, i wkrótce głód zaspokoili. Gospodyni przyglądała się tej uczcie z pewnym rodzajem zado-

wolenia, a kiedy już skończyli, zapytała, czy nie pozwoliliby jeszcze czego więcej, lecz oni podziękowali już za resztę uprzejmie. Uprzątnięto więc stół, a gospodyni usiadłszy tuż przy nich, rozpytywała się o różne szczegóły, jako to: o miejsce ich urodzenia, o ich rodziców i t. p. tak długo, aż po czasie, wiedziała o nich prawie tyle, co oni sami. W miarę zaś, jak w opowiadaniu chłopców coraz to więcej widziała szczerości i otwartości, stawała się coraz bardziej szczerą i życzliwą; nareszcie przyniosła im nawet pełny dzban piwa.

Pijcie, rzekła. To z mojego własnego browaru; ręczę, że wam nie zaszkodzi. Pijcie, a potem zatrzymajcie się tu jeszcze jaką chwilkę, być może, że jeszcze nawet dziś wieczór zarobicie parę groszy.

Chłopcy usłuchali. Wkrótce zapalono wiszącą lampę i zwolna, zaczęli się schodzić goście zasiadając przy różnych stolikach; na młodą trójkę, siedzącą cicho w kąciku, nikt nie zwracał uwagi. W przeciągu godziny zapełnił się pokój gośćmi tak, że ledwo przy jednym stoliku zostało trochę miejsca. Właśnie teraz przystąpiła do nich gospodyni, co dotąd z gośćmi rozmawiała i skinęła uprzejmie.

No, teraz możecie się popisywać waszą sztuką, rzekła. Moi goście będą chętnie słuchali, bom ich oto pytała.

Nasi grajkowie byli na to przygotowani, a chociaż na wezwanie pani domu i na wspomnienie, że po raz pierwszy będą się musieli publicznie dać słyszeć, opanowała ich jakaś trwoga, wydobyli jednakże rychło swoje muzyczne instrumenta i zagrali wesoły taniec, którego się tęgo wyuczyli. W czasie grania, opuściła ich pierwotna drżączka zupełnie i rzecz cała, udała się tak gładziutko i pięknie, że się jej goście przysłuchiwali z zadowoleniem, a okazali to hucznymi oklaskami i głośnem „brawo“!

No! to poszło dobrze, moje chłopaki! rzekła gospodyni, potrząsając z zadowoleniem głową. Zagrajcie jeszcze jeden taki kawałeczek, a potem zaspiewajcie co także.

Teraz już nasi muzycy nie byli wcale w strachu, gdyż pochwała gości i gospodyni dodała im odwagi i śmiałości; rozpoczęli więc drugi kawałeczek. Ludwik dął tak czysto na flecie, Karol uderzał tak silnie na cytrze, a Jerzy ciągnął smykiem tak gładko i z taką pewnością siebie, że słuchacze, jeszcze głośniej niż pierwszym razem klaskali i huczniejsze dali

„brawo“, w czem im też teraz i sama pani domu pomagała.

Patrzcie, patrzcie! rzekła zdziwiona, ktoby się był tego po waszych płotniankach spodziewał. Toć wy się na waszej sztuce znacie doskonale! No, nie zginiecie i w Lipsku! Ale, ale... piosnka nam się jeszcze należy! Ciekawa jestem, czy także tak pięknie śpiewacie!

Rozochoconych swym sukcesem*) chłopców nie długo trzeba było namawiać. Poszeptali chwilkę i naradzając się nad wyborem treści, wnet zanucili piękną ludową piosnkę:

Jutro żegnam wasze strony
W obcy idąc świat,
Odejść muszę, choć strapiony
Płacze rodzic brat.

Chociaż biedna moja matka,
Gorzkie leje łzy,
Chociaż siostry i czeladka,
Choć płaczecie wy!

Choć kraina ta wesoła,
Choć tu druhów mam,
Żegnam chatki mego sioła,
Spieszyć muszę tam!

*) Powodzeniem.

Jednak chociaż was porzucę,
Wyście w sercu mi,
O, bo z serca nie wyrzucę
Tego, co w niem tkwi!

Odejść muszę, choć mi duszę
Ciężki ściska żal:
Więc żegnajcie, nim wyruszę,
Nim odejdę w dal!..

Kiedyś... może łzy osuszy
Ból uśmierzy czas,
Dziś mi bardzo tęskno w duszy,
Żegnam..., żegnam was.

Ból ukoi, łzy osuszy,
I wam i mnie czas,
Bądźcie zdrowi!.. z głębi duszy
Żegnam..., żegnam was!*)

Karol miał zawsze dobry głos, dziś atoli jeszcze lepszy, niż kiedykolwiek, bo go to bardzo cieszyło, że ich goście nie wyśmiali. Śpiewał więc, bardzo pięknie rzewną piosnkę, akordując na cytrze, a Ludwik i Jerzy wtórowali na flecie i skrzypcach. Śpiew łączył się z muzyką przecudnie, a przytem było wykonanie tak

*) J. Topor.

zgodne i łagodne, że porywało słuchaczy. Nic więc dziwnego, ze się naraz tak wszystko uciszyło w pokoju, iż z łatwością, mógłbyś był dosłyszeć lotu muchy. Kiedy już nareszcie pieśń się skończyła, cisnęli się wszyscy do stolika, przy którym siedzieli nasi muzycy, z prośbą o jeszcze jedną i znowu o inną piosnkę, gdyż trudno im było oderwać się od słuchania. Chłopcy czynili zadość żądaniu i śpiewali rozmaite piosnki, smętne i wesołe na przemian przez dobrą godzinę, aż nareszcie gospodyni domu, przerwała ten popis.

Dość już, dość! rzekła. Wyście nam pięknie grali i śpiewali, a myśmy się przyjemnie ubawili. Wyście się z waszego zadania bardzo ładnie wywiązali, przestańcie już, a wy panowie będziecie się zapewne także, do jakiegoś obowiązku poczuwali.

O, tak, to się rozumie, zawołało naraz jakie dwadzieścia lub więcej głosów. Dzielne chłopaki! Śpiewają pięknie, a przytem są skromni, słusznie przeto należy im sie nasze uznanie. Niechaj no tylko gosposia poda nam z łaski swej jaki talerz. My wiemy, co do nas należy!

Tak wołali goście wśród szmeru, zajmując napowrót swoje miejsca za stołami. Talerz znalazł się rychło i obszedł wszystkich gości, żadnego nie wyjmując, a srebro sypało się weń z brzękiem. Nareszcie, przyniosła je gospodyni do chłopców i postawiła przed nimi.

To wasze, rzekła wesoło, a z oczu jej można było wyczytać, szczerą życzliwość.

Weźcie to wraz z życzeniem pomyślności i nadal. Pierwszy to grosz, któryście waszą sztuką zapracowali, ale nie wątpimy, że się wam i nadal dobrze poszczęści, uprzyjemniając nam cały wieczór waszemi piosnkami!

Któż pojmie radość biednych chłopców! Na talerzu ujrzeli sporo srebrnych pieniędzy, a kiedy im gospodyni ich zarobek policzyła, pokazało się, że im wpłynęło pięć talarów z górą. Dobra nadzieja na przyszłość pomyśleli, i ze łzami w oczach, podziękowali uczynnej gospodyni za ten piękny podarek.

Nie macie za co dziękować! odrzekła do brodusznie. Pieniądze, któreście otrzymali, są nagrodą waszej zasługi i każdy, co wam dał, dał ze szczerego serca. Zabierzcie przeto, co wasze i idźcie na spoczynek. Łóżka już przygotowane, a stróż niech wam wskaże waszą izbę.

Dobrze, odrzekł Karol, wnet pójdziemy, ale chcielibyśmy jeszcze coś zaśpiewać, jeżeli wolno i jeżeli panowie zechcą słuchać, żeby im okazać naszą wdzięczność.

Bardzo ładnie, nie mamy nic przeciw temu, gdyż jest to dowodem waszej grzeczności, ale już tylko na jedną piosnkę pozwalamy, bo czasem i dobrego może być za wiele. Zacznijcie tylko, a panowie będą słuchali.

Tak się też i stało. Skoro się odezwała cytra, ucichło wszystko, jak pierwej, w gościnnej sali, a chłopcy zanucili prześlicznie wieczorną pieśń, zaczynającą się od słów.

Dobranoc! Dzienne prace i znoje,
Skończył nareszcie już człowiek
Dzień ma swe prawo, a noc ma swoje,
Sen się już składa do powiek.

Odśpiewali całą tak pięknie i rzewnie, że im się zewsząd najrzęsistsze posypały oklaski, poczem podziękowawszy za łaskawy datek, odeszli z życzeniem dobrej nocy na spoczynek, a troskliwa gospodyni odprowadziła ich aż do izby, dla nich przeznaczonej.

Dobrzeście się spisali, dodała w końcu. Odpocznijcie i śpijcie smacznie. Jutro jeszcze pogadamy! Dobranoc!

Tak przeszedł jakoś naszym trzem biedakom pierwszy dzień ich artystycznej wędrówki, dość nawet pomyślnie. Znużeni, rychło usnęli i przebudzili się ze snu, dopiero nazajutrz rano, kiedy im stróż domowy przyniósł obfite śniadanie, po którem przygotowawszy się do dalszej podróży, udali się do pani domu, żeby jej zapłacić koszta i pożegnać się. Co się tyczy tych kosztów, byli w obawie i to zupełnie słusznej, gdyż żyli po pańsku przez tych kilkanaście godzin, a więc z porządku rzeczy wypadało, po pańsku za to zapłacić. Lecz wkrótce przekonali się, że rzecz ma się o wiele lepiej, bo gospodyni przyjęła ich bardzo serdecznie, a o zapłacie ani słyszeć nie chciała.

Przyjęcie, rzekła, jakiegoście tu doznali, nie podlega żadnej opłacie. Idźcie w Imię Boże, a z powrotem z Lipska nie zapomnijcie o mnie Niech was Bóg prowadzi! Pierwszy wasz krok, poszczęścił się wam, życzę więc i spodziewam się, że tak samo, albo może nawet i lepiej, będzie wam się i nadal powodziło.

Bądźcie zdrowi, a nie zapominajcie o zajeździe »Pod jeleniem«!

Po tych słowach pożegnała ich serdecznie uściśnieniem ręki. Wesoło i pełni otuchy, wybrali się chłopcy w dalszą drogę, bo ich pocieszyły słowa gospodyni z »pod jelenia«, że pomyślność na pierwszym kroku, jest zapowiedzią dalszej.

Dlaczegoż mielibyśmy powątpiewać o dalszem powodzeniu? zagadnął swobodnie Ludwik. Jaka praca, taka płaca! Jeżeli będziemy w zgodzie ze sobą i z własnem sumieniem, Bóg nas z pewnością nie opuści!

Amen! dodał Karol z głębi serca, spoglądając z ufnością w niebo, którego pogodny lazur, zdawał się uśmiechać do młodych podróżnych.

V.

Lipski jarmark.

Szerokiej sławy lipski jarmark właśnie co dopiero się rozpoczął, gdy nasi trzej młodzi

muzycy, pewnego dnia po raz pierwszy przeszli bramę dużego miasta, którego budynki wysokie i piękne ulice, na pierwszym wstępie, wcale im dotąd nieznany przedstawiły widok, ściągając na się ciekawe ich oczy. Wśród tłumu ludu, napawając wzrok coraz nowym jakimś przedmiotem, dostali się prawie niepostrzeżeni na targowicę, na której było mnóstwo drewnianych bud i płóciennych namiotów. Tu się zatrzymali, gdyż ruch ludzi, ż których każdy chodził około swego interesu, hałas stąd powstający i ten dziwny jakiś nieład i zamęt, tyle na nich wywarły nowych, dotąd wcale nieznanych wrażeń, że się czuli znużeni i jakby ogłuszeni. Wszystko biegało i kręciło się w około nich. Podziwiali te tłumy ludzi, snujących się w różnych kierunkach, tę mnogość rozmaitych bogatych, a dotąd nigdy jeszcze nie widzianych towarów, gapili się na brodatych Żydów, w czarnych, po kostki długich, kaftanach, na Turków, co w swoich pstrych szeroko fałdzistych strojach poważnie się przechadzali, na Altenburskich chłopów, ce całemi gromadami posuwali się pomiędzy budami, a przedewszystkiem na mnóstwo dużych, ciężkich wozów, co wysoko towarami naładowane, z takim nieznośnym hu-

kiem, toczyły się po bruku, że trudno było rozumieć własnego słowa.

O! tu o muzyce ani mowy! zawołał nareszcie Ludwik do swoich towarzyszów. Przy tym hałasie zgubiłyby się nawet i organy. Chodźmy, gdzie na spokojniejsze miejsce!

Zgodziwszy się na to, odeszli, trzymając się dobrze razem, żeby się gdzie nie zgubił który z nich wśród tłumów ludzi. Nareszcie dostali się na jakieś ciche, dokoła wysokiemi budynkami zamknięte podwórze, gdzie przynajmniej swobodnie mogli odetchnąć bez obawy, by nie byli ciągle potrącani lub nawet w danym razie, zgruchotanymi przez wozy.

O, to coś tak, jak tam z tym śniegiem w lesie, rzekł Jerzy odetchnąwszy z pełnej piersi. Ludzie tu tak się snują, że się trudno przecisnąć. Cóż my tu poczniemy w tym natłoku?

Jakoś to będzie, odrzekł Karol, który z nich trzech najspokojniej i z najzimniejszą krwią, wszystkiemu się przypatrywał. Przedewszystkiem, trzeba nam się postarać o jakiegoś przyjaciela, któryby nam na każdym kroku chciał być przewodnikiem.

Ba, ale gdzie go znajdziesz? zapytał Jerzy.

Ależ, czyście zapomnieli, że nam poczciwy Antoni dał jakiś list? odparł Karol. Mam go w kieszeni i jeżeliby nam się tylko udało znaleść tego, do kogo on napisany, wszystko będzie dobrze.

A... prawda.... list, rzekł Ludwik zadowolony. Prawdziwie, to szczęście, że go mamy? Do kogo adresowany?

Karol wyjął list z kieszeni i odczytał: »Do Franciszka Polstera, stróża domowego pod zielonem drzewem, w Lipsku«

A więc dobrze! Dopytamy się o zajazd pod zielonem drzewem, a tam się dowiemy, kto będzie tym przyszłym naszym przyjacielem.

Dobrze! Ale gdzież to zielone drzewo? wtrącił Jerzy.

Ach, czyż to taka wielka sztuka zapytać kogo? rzekł Ludwik, a na grzeczne pytanie odpowie nam przecież każdy chętnie.

Właśnie przechodził po przed nich jakiś przyzwoicie ubrany mężczyzna, do niego więc zwrócił się Ludwik z tem zapytaniem, zdjąwszy uprzejmie czapkę z głowy.

Zielone drzewo... wiem, wiem, odrzekł zagadnięty. Chodźcie ze mną, idę właśnie w tę stronę, więc je wam wskażę

Udało się. Trzej chłopcy szli krok w krok tuż za łaskawym przewodnikiem, który po jakich piętnastu minutach drogi stanął i rzekł do nich, wskazując palcem na jakiś dość okazały budynek, nad którego szeroką bramą, widać było już z daleka, zielone ładnie odmalowane drzewo.

Tak jest .. tam idźcie.

Nim się spostrzegli, odszedł tak rychło ich przewodnik, że mu nawet nie mogli podziękować, a oni udali się pod zielone drzewo. Weszli do gospody i zapytali o stróża. Zawołano stróża, a Jerzy oddał mu list

„Do Franciszka Polstera stróża pod zielolonem drzewem w Lipsku", czytał i śmiał się. O, to nie do mnie. Nie dzisiejsze to już czasy, jak pan Polster był tu moim poprzednikiem. Dziś musicie już gdzieindziej szukać!

Gdzież? zapytał Karol nieśmiało. Myśmy tu całkiem obcy i nie wiemy, gdzie się ruszyć.

A więc i tego nie wiecie, że pan Polster jest już obecnie, właścicielem jednego z najpiękniejszych hotelów w Lipsku?

Nie, nie Panie! wyrzekł Jerzy z cicha.

O, to źle! Trudno, żeby nas dobrze zechciał przyjąć.

No, o tem jeszcze nie można naprzód mówić, odrzekł stróż. Pan Polster jest bardzo grzecznym człowiekiem, a jeżeli was tylko dobrze polecono, będzie też bez wątpienia dobre przyjęcie. Na wszelki sposób, idzcie i oddajcie mu list. Dam wam chłopaka, który was tam odprowadzi. Fryc!

Zwinny chłopiec zjawił się natychmiast.

Zaprowadź tych ludzi do bawarskiego hotelu, rozkazał mu stróż, a do nich rzekł. Na wypadek, gdyby was pan Polster nie przyjął, przyjdźcie do mnie, żeby ludzie nie mówili, że obcy człowiek, nie może w Lipsku znaleść ani rady ani pomocy.

Chłopcy podziękowali serdecznie za ofiarowaną uczynność i nieco już pocieszeni, poszli z drugim przewodnikiem. Mężczyznę tęgiej tuszy, pełnej, rumianej i uprzejmej twarzy wskazano im jako pana Polstera, któremu z trwogą a nawet ze strachem podali list.

O... cha, cha, cha... ten list musiał długo podróżować, bo to już nie jeden rok minął, odkąd ja nie jestem stróżem „pod zielonem drzewem“, mówił śmiejąc się, a z tej mowy

można było wyczytać, że jest w dobrem usposobieniu. No, ale zaglądnijmy do środka! A!... od mego starego przyjaciela Antoniego Berghölca w Heimbachu! Oczywiście, że ten nie mógł wiedzieć, co się ze mną od tego czasu stało, chociaż ja o nim, ani o jego przysłowiu „j a k a p r a c a t a k a p ł a c a“ dotąd jeszcze nie zapomniałem. O, tak, to święta prawda: doświadczyłem jej na sobie. Siadajcież dziatki, usiądźcie, nim przeczytam list, bo jest dość długi Janku! Posiłek jaki dla tych młodych ludzi!

Zwinny Kelner wyleciał jak z procy, wskazał im miejsca i przyniósł wnet smacznych ciasteczek i dla każdego, po szklance wina. Smakowało wybornie. Po raz pierwszy w życiu, dostały się im takie łakocie, mimo to jednakże zawsze jeszcze nieśmiało spoglądali na pana Polstera, który czytając list, to się uśmiechał, to marszczył czoło, aż nakoniec wpadł w zadumę i potrząsał głową. Po odczytaniu, zbliżył się z uprzejmą twarzą do chłopców, którzy w trwodze i niepewności, oczekiwali końca i usiadłszy przy nich rzekł:

Tak wtedy wiem już o wszystkiem. Stary leśniczy, pisze o was bardzo pochlebnie, a ponieważ jesteśmy ziomkami, bo i ja także pocho-

dzę z gór kruszcowych, więc będziemy jakoś w Imię Boże radzić. Możecie dziś wieczorem przyjść do mego hotelu i grać w sali. Nie źle wam pójdzie, jeżeli się dobrze znacie, na waszej sztuce. Czy pomieszkanie już macie?

Dotąd jeszcze nie, bośmy dopiero przyszli, odpowiedział Ludwik.

No, to w takim razie możecie taksamo u mnie zostać, jak i gdzieindziej. Jakiś kącik, już się dla was znajdzie. Do wielkich wygód, zdaje mi się, że nie jesteście przyzwyczajeni?

Ach, nie, nie Panie! odrzekli wszyscy trzej.

Namyślcie się dobrze! rzekł pan Polster, śmiejąc się przy tem szczerze. Biedni ludzie, z okolic kruszcowych gór nie spią na sprężynach i materacach. No, no, dobrze, dobrze! Możecie zostać! A czy macie pieniądze?

Mamy, łaskawy Panie! odrzekł szybko Ludwik, który był skarbnikiem towarzystwa. Przez czas naszej czternastodniowej podróży, wstępując tu i ówdzie, zaoszczędziliśmy z zarobionego grosza, sześdziesiąt talarów, z czego większą część odesłaliśmy do domu dla naszych matek, przy sobie, zaś mamy jeszcze jakie dwadziescia talarów.

Do domu... dla matek... a, to bardzo pięknie! rzekł pan Polster po przyjacielsku Poznaję już, żeście uczciwi i dla tego bardzoście mi się spodobali. Jeżeli tak dalej będziecie postępowdć, wykierujecie się na tęgich ludzi, bo słusznie mówi stary Antoni, że: j a k a p r a c a, t a k a p ł a c a. Bierzcie sobie przykład ze mnie. Ja byłem stróżem, ale przez pilność, porządek, rzetelność i oszczędność, doszedłem dzięki Bogu do tego, że dziś już mogę bez żadnego wynagrodzenia, być uczynnym, poczciwym ziomkom, jeżeli o to chodzi. A więc dobrze! Zostajecie u mnie, a dziś wieczorem, obaczymy się o godzinie ósmej. Janku! dla tych trzech młodzików pokoik; są moimi gośćmi aż do dalszego rozporządzenia! Rozgośćcie się dziatki, obejrzyjcie się trochę po jarmarku, a zuderzeniem ósmej bądźcie w sali! Lubię punktualność.

Uradowani serdecznością i dobrocią ziomka z gór, chodzili nasi młodzi muzycy kilka godzin pomiędzy kramikami na targowicy, po ulicach i placach, podziwiając wszędzie obfitość i bogactwo towarów, a szczególnie biżuterye, rozmaite inne błyskotki powystawiane w sklepach, na oknach, aż ze zmrokiem powrócili do bawarskiego hotelu.

W swoim pokoiku oczyścili suknie, uczesali głowy, nastroili swoje muzyczne instrumenta i udali się o godzinie ósmej do sali, w której się mieli popisywać. Tu zastali już mnóstwo znaczniejszych gości. Z pająków i lichtarzy spływało rzęsiste światło na całą, prześlicznie malowaną i bogato złoconą salę, po której uwijali się bardzo zgrabnie i ledziutko kelnerzy, przy jednych stołach odbierając, przy drugich spełniając wydane rozkazy gości.

Jak tu wszystko z pańska! szepnął Ludwik do swoich towarzyszy. W takiej sali i przed takimi gośćmi, nigdyśmy jeszcze dotąd nie występowali, aż mię mróz przechodzi na samą myśl, czy my tu zasłużymy na uznanie.

W Bogu nadzieja, odszepnął Karol, zdaje mi się, że On nam i ztąd bez wstydu i hańby odejść pozwoli. Musimy bardzo uważać i wybrać co najlepszego.

Nasi młodzi artyści nie potrzebowali się długo namyślać nad wyborem kawałków. W swej podróży nauczyli się już wiele i doświadczyli, a w swoich występach, trzymali się już pewnego stałego porządku. Zaczęli więc prędko wesoły kawałeczek, a miły dźwięk rozległ się po sali. Z gości mało który zwracał na nich uwa-

gę, ale gospodarz domu, który bardzo pilnie się wsłuchiwał, skinięciem głowy, dał im pochwałę i rzekł uprzejmie:

Widzę już z tego, że ani sobie, ani mojej sali nie zrobicie wstydu. Grajcie tylko spokojnie dalej i nie troszcie się o to wcale, że goście na was nie zwracają uwagi: musieli oni już nieraz o wiele gorszej gry słuchać

Te słowa gospodarza, pocieszyły trochę biednych chłopaków, bo już zaczęło ich opanowywać zwątpienie i bardzo im to było przykro, że tak mało ich grą się zajmowano. Teraz atoli lżej nieco odetchnęli i zagrali drugi kawałeczek, a potem zaśpiewali pieśń.

Na grę, mało kto zważał, ale skoro zabrzmiał czystym dźwiękiem pełny i miły głos Karoła, coraz ciszej stawało się w ogromnej sali, tak, że nareszcie ustała wszelka zabawa i rozmowa gości, którzy wzrok swój i słuch skierowali na młodzieńców. Piosnka, którą śpiewali, była bardzo pojedyńcza, ale Karol umiał ją oddać tak gładko, pięknie i rzewnie, że wkrótce ujął wszystkich za serce. Ogólne oklaski, posypały się przy końcu pieśni i jota w jotę powtórzyło się to samo, co przy pierwszym ich występie »pod jeleniem«. Musieli śpiewać

jedną piosnkę po drugiej, gdyż nie można się było dość nasłuchać, aż nareszcie pan Polster, jak niegdyś owa gosposia, przerwał rzecz całą.

Teraz idźcie z talerzem, rzekł podając go Ludwikowi, właśnie pora!

Ludwik obszedł stoły i zebrał tyle, jak nigdzie i nigdy Na telerzu, świeciło się samo srebro, a w śród niego błyszczała jedna sztuka złota.

A co? Nie źle poszło! rzekł pan Polster wesoło. Od dziś, możecie tu grać co wieczora, a zdaje mi się, że i inne hotele będą was sobie wydzierały; spiewacie jak skowronki!

Radość chłopaków była nie do opisania, a nadewszystko, cieszyła ich pochwała gospodarza.

Poczciwy leśniczy! rzekł Lu wik, kiedy już powroeili do swego pokoiku. Jemu mamy zawdzięczyć nasze szczęście. Jakżeż się ucieszy, kiedy mu po powrocie, opowiemy o naszem powodzeniu.

A nasze matki! zawołał Karol. Słów mi nie staje, żeby dać wyraz temu szczęściu, jakie powstaje w duszy na samo wspomienie, że im możemy sprawić ulgę w ich troskach i kłopotach!

Jerzy milczał, rzucając co chwila chciwie wzrokiem na kupę pieniędzy na talerzu i złe myśli przyszły mu do głowy.

Gdyby to wszystko było moje! pomyślał. Miałbym na całe życie!

Nie dał jednakże tego poznać po sobie: rzucił się prędko na łóżko, lecz długo nie mógł zasnąć, tak go prześladowała ta myśl: »żeby to było moje«, co też często sobie z pożądaniem powtarzał, zaciskając namiętnie pod kołdrą ręce. Nazajutrz jeszcze był ponury, roztargniony i zamyślony, chociaż jego koledzy ani się domyślali przyczyny tej nagłej zmiany.

Myśmy tak szczęśliwi i zadowoleni, szepnął Karol Ludwikowi, cóżby miało oznaczać to dziwne usposobienie Jerzego?

Ludwik ruszył ramionami, pomyślał coś ale nie odpowiedział; Jerzy milczał wciąż i nie zdradził jeszcze dotąd niczem swoich mysli. Owszem, kiedy się przechadzali po mieście, odzyskał wesołe usposobienie, ale tylko pozornie, gdyż wieczorem zposępniał znowu.

Pewnie tęskni za domem! pomyślał Karol i nie mówił więcej o tem.

Gościnna sala w bawarskim hotelu była wczoraj pełna, dziś przepełniona tak, że nie można było znaleść miejsca, żeby usiąść już w chwili, kiedy weszli chłopcy, których pan Polster powitał uprzejmie.

A co? Czy nie mówiłem wam wczoraj? Weszliście już w modę. Każdy chciałby oglądać tych trzech chłopaków z gór kruszcowych i przysłuchać się ich graniu i spiewaniu. Patrzcie jak nabita sala! Przybędzie grosza! Weźcie się dobrze do dzieła, niech o was ludzie wiedzą!

Po chwili już sala grzmiała oklaskami, a kiedy Karol swoim czystym, dźwięczoym głosem pieśń zanucił, przybliżył się do niego jakiś wiekowy pan, niskiego wzrostu z białem jak śnieg włosem i wpatrzył się weń ostrym i poważnym wzrokiem tak przenikliwie, że nie każdy byłby wytrzymał, to spojrzenie. On jednakże nie zmięszał się wcale, owszem, odwzajemnił się poczciwemu staruszkowi, swojem szczerem błekitnem okiem.

Ty masz bardzo piękny, prześliczny głos mój synu, rzekł do Karola, ale i gry na cytrze rzadko kiedy lepszej słyszałem. Piękne to dary Boże; nie powinieneś ich zaniedbywać, ale coraz bardziej kształcić.

Po tych słowach, ukłonił się staruszek uprzejmie i opuścił salę, nie czekając odpowiedzi. Odtąd był już stałym ich słuchaczem. Przychodził regularnie co wieczora o pewnej godzinie, zajmował swoje miejsce w pobliżu naszych muzyków i wsłuchiwał się pilnie w ich spiew i grę. Z Karolem więcej nie rozmawiał, chociaż tenże dobrze uważał, jak się staruszek nim zajmuje, co mu też dodawało ochoty i natchnienia, do wyboru najlepszych kawałków. Nigdy tak pięknie nie grał, nigdy nie spiewał tak dobitnie i znakomicie, jak wtedy, gdy starowina, wszedł do sali i przywitawszy ich skinieniem głowy, zajął swoje miejsce.

Tymczasem pokazało się, że pan Polster się wcale nie omylił, obiecując, iż jego muzycy będą i do innych miejsc zapraszani, gdyż nie było prawie dnia, żeby ich nie wzywano do różnych miejsc w mieście; ale pan Polster pozwalał im tylko do znaczniejszych uczęszczać, gdyż nie wszystkie uważał za odpowiednie dla nich, w czem mu zupełnie byli posłuszni. Tym sposobem zarobili więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek w życiu, gdyż pokazało sie przy końcu jarmarku, że ich kasa miała blisko czterysta tolarów.

Teraz możemy spokojnie powrócić do domu, rzekł Ludwik zamykając przeliczone pieniądze z torebką do szafy, od której kluczyk, miał jako skarbnik, zawsze przy sobie. Na cały rok, pozbyliśmy się trosk i kłopotów, a za rok cóż nam to zaszkodzi odwiedzić znowu lipski jarmark?

Ma się rozumieć, odrzekł Karol stanowczo, a my tymczasem nauczymy się nowych kawałków i pieśni, żeby znowu powrócić ze sławą.

Jerzy milczał. Spoglądał tylko ukradkiem na Ludwika i zauważał, gdzie chowa kluczyk od wspólnej kasy.

Parę dni mieli nasi zabawić jeszcze w Lipsku, a potem powrócić do domu. Wtem wydarzyło się, że kiedy jednego z ostatnich już wieczorów z jakiegoś hotelu powracali do bawarskiego, Ludwik potrącił nogą o jakiś przedmiot leżący na drodze. Schylił się i podniósł mały pakiet owinięty grubym papierem i zawiązany sznurkiem.

Co tam masz? zapytał Karol.

Nie wiem, co to być może, odrzekł Ludwik. Na wszelki sposób schowam to do kieszeni, a w domu obaczymy, cośmy znaleźli.

Włożył paczkę do kieszeni i poszli dalej do bawarskiego hotelu Już w dziedzińcu spotkali pana Polstera, który ich wezwał, żeby jak najspieszniej szli do sali, gdzie wszyscy z niecierpliwością na nich czekają. Nie zostawił im nawet tyle czasu, żeby poszli do swego pokoiku i oglądnęli paczkę. Przy grze zaś, zapomnieli nawet o niej zupełnie.

Jak zwykle, siedział sędziwy staruszek i dziś także na swojem miejscu nie daleko chłopców i wsłuchiwał się pilnie w ich koncert. nie zważając na nic, co się działo w sali.

Masz go! Jest znowu twój starowina, podszepnął Ludwik z cicha Karolowi. Pocieszny to człowiek! Nie spuszcza cię ani na chwilę z oka.

Daj mu spokój! odrzekł cichutko Karol. Wiesz przecież, że on mi wcala nie przeszkadza, owszem dodaje mi nawet zapału.

Zgoda! wyrzekł Ludwik z uśmiechem. Mnie on także nie przeszkadza wcale, ale nie wiem, co mi się stałn, że dzisiaj nie mogę od niego odwrócić oczu?

Tak, jak ja każdego wieczora. Ale mniejsza o to; pilnuj fletu, dodał Karol, zaspiewamy

teraz: ale uczciwie, »Któż to cię tak piękny lesie«.

Kiedy to szeptali, było już dość późno, a powyższa pieść, miała na dziś, być ostatnią. Ludwik skinął na Karola i spiew się rozpoczął. Tymczasem w czasie pauzy, rzucił Karol okiem znowu na staruszka, siedzącego z boku i zmieszał się, gdyż dostrzegł, że jakiś nieźle ubrany jegomość, przysunął się bardzo blisko do starowiny, a wyglądał tak, jak gdyby zły jaki ukrywał zamiar. Karol wpatrzył się weń badawczo, przerwał nagle spiew, porzucił cytrę i podskoczywszy do miejsca, na którem siedział jego wielbiciel, chwycił owego panicza oburącz i krzyknął:

Coś to jegomość temu panu wyciągnął z kieszeni?

Zagadnięty zmieszał się, zbladł jak chusta i chciał się wyrwać z rąk Karola, ale silny młodzieniec, przytrzymał go z wytężeniem chwilkę nim mu obok siedzący, w tem dziele dopomogli.

Puśćcie mnie! krzyczał. Czego chcecie odemnie? Cóż ja takiego uczyniłem?

Brakuje mi mego pugilaresu, rzekł spokojnie staruszek, przed kwandransem czułem go jeszcze w kieszeni.

Pakiet się znajdzie u tego pana! zawołał odważnie Karol. Widziałem, że coś chował do kieszeni.

Kłamstwo! Bezczelne kłamstwo! krzyknął przytrzymany. Czy wyglądam na złodzieja? Puśćcie mię, bo pożałujecie tego!

Po chwili nadszedł pan Polster i zmierzył go surowo: widział, że szamotaniem stara się wyswobodzić z rąk tych, co go trzymali.

Proszę się uciszyć na chwilkę! rzekł gospodarz domu, gdyż wielki hałas powstał był w sali. Jak wyglądał pański pugilares, panie baronie?

Z zewnątrz powleczony zielonym safianem i wyzłocony, odrzekł zapytany.

Tak? odpowiedział na to całkiem spokojnie gospodarz, sięgając do kieszeni panicza schwytanego na gorącym uczynku Zapewne ten . . . zielony, safianowy, złocony! Znaki się zgadzają!

Tak jest, ten sam, ten sam! odrzekł odbierając swój pugilares. Proszę, jest tu nawet moje nazwisko wewnątrz: baron Einkelstein!

Przekonano złodzieja, wyprowadzono z sali i oddano go w ręce policyi, której się już

nie opierał wcale. Pan baron schował obojętnie swój pugilares do kieszeni, a reszta gości zajęła znowu swoje miejsca.

Dokończcie waszej piosnki, rzekł baron do chłopców. Jeżeli mię złodziej nie pozbawił mego pugilaresu, dlaczegoż miałby mię pozbawić waszej pieśni! Grajcie, spiewajcie, już nam pewno, nikt nie będzie przeszkadzał!

Pomimo gwałtownogo wzruszenia, zaczął Karol pieśń na nowo i odspiewał ją do końca, chociaż drżącym nieco głosem.

Za piosnkę serdecznie dziękuję, a do ciebie chłopcze mam jeszcze jedno słowo, rzekł pan baron, powstawszy z miejsca Odwiedź mię jutro rano w mojem pomieszkaniu, mam z tobą o czemś pomówić. Masz tu mój adres!

Podał Karolowi bilet. pożegnał go jak zwykle, uprzejmem skinieniem głowy i wyniósł się spokojnie z sali. Nasi złożyli swoje instrumenta i mieli zamiar, udać się już do swego pokoiku, gdy wtem znowu zjawił słę w sali jakiś urzędnik policyjny, który panu gospodarzowi podał kilka arkuszy papieru dużemi literami zadrukowanych. Zatrzymała ich przeto jeszcze chwilkę ciekawość, którą wnet zaspokoili, wyczytawszy z rozlepionych w sali plaka-

tów, że dziś nad wieczorem, zgubił ktoś znaczną sumę pieniędzy, za zwrot której dostanie rzetelny oddawca s:witą nagrodę.

Chodźcie! To nas nie obchodzi! rzekł Ludwik do Karola i Jerzego i wnet znaleźli się wszyscy trzej w swoim pokoiku, gdzie zanieciwszy światło, zamierzali udać się po modlitwie na spoczynek. Wtem Ludwik, zdejmując swój surdut, uczuł, że mu coś cięży w kieszeni. Sięgnął więc ręką i wydobył paczkę, którą znalazł wieczorem.

To ta paczka! zawołał głośno. Zapomniałem o niej zupełnie!

A pokażno przecież, co tam w niej jest? zawołał Jerzy! Jestem ciekawy!

Ale cóż może być? pewno nic szczególnego, dodał uśmiechając się Karol. Niech tam leży do rana, jestem bardzo zmęczony.

A dlaczegoż nie mamy jej zaraz otworzyć! zawołał Jerzy. Ciekawość, nie dałaby mi całą noc oka zmrużyć. Patrzcie no! o! jedwabny sznurek! kto wie, co tam być może? Nuż na szczęście, może ta suma zgubiona, o której czytaliśmy na sali?

Cha, cha, cha! Toć ona właśnie nam miałaby wpaść w ręce? odparł Ludwik, śmiejąc

się z domysłów Jerzego. Zresztą zajrzyjmy, bo i mnie jakoś zbiera ciekawość!

Rozwiązał jedwabny sznurek, rozwinął jeden papier, drugi i.. krzyknął głośno przerażony:

Mocny Boże!.. Jerzy zgadł!... Pieniądze!.. Widocznie ta zguba!.... Patrzcie! banknoty i mnóstwo papierów państwowych, różnych: na sto, pięćset, dwadzieścia i pięćdziesiąt talarów!

Trudno odczuć to, co wtenczas odczuwali chłopcy. Ogromne bogactwo leżało przed nimi na jodłowym stole i ćmiło im wzrok. Kilka minut nie mogli słowa wyrzec, brakło im tchu, i tylko spoglądali przerażeni to na ten skarb, to po sobie.

Tożto się ucieszy ten, co to zgubił, skoro napowrót do rąk dostanie swoją własność! rzekł Karol. Jakżeż się biedaczysko musiał zmartwić, stratą swego majątku!

O, pewnie! rzekł Ludwik, zamyślając się. Sądzę, że najlepiej byłoby, natychmiast oddać mu te pieniądze, żeby mu skrócić jego troski i niepokój!

Czyście oszaleli! zawołał Jerzy zakłopotany i rozgorączkowany. Nie będziecie przecież takimi głupcami, żebyście mieli te pieniądze oddawać!

Na cóż je głupiec zgubił? To nasze szczęście, żeśmy znaleźli! Patrzcie tylko na tę straszną masę pieniędzy. Tu jest pewno, nie jeden tysiąc talarów! Pójdziemy do domu, kupimy sobie ładne domostwa i będziemy żyli wesoło w dostatku i rozkoszy!

Ludwik wodził błędny wzrok po ziemi; mamona tak mu zabiła głowę, że musiał ciężką walkę staczać z pokusą chciwości. Karol zaś potrząsł smutno głową i rzekł stanowczo:

Nie! to być nie może! Pieniądze muszą być zwrócone właścicielowi!

Tak, rozumie się, masz słuszność! odpowiedział Ludwik, cedząc przez zęby i pasując się strasznie z pokusą, którą chciał tym sposobem odpędzić. Z pieniędzmi tymi, dziś nam się jeszcze trzeba pożegnać!

Ależ dlaczego zaraz dziś? rzekł Jerzy podstępnie. Policzmy przynajmniej, żebyśmy się dowiedzieli, ile tu jest! Na oko zdaje się więcej, niż dziesięć tysięcy! Pomyślcie... dziesięć tysięcy!.. Gdybyśmy to przynieśli do domu! Wystarczyło by nam na zawsze! Policzmy! Policzmy!

Policzyć nie zaszkodzi! rzekł Ludwik wahając się, a usta mu się mocno zaróżowały.

Nie, nie, na miłość Boga, nie liczcie! zawołał strwożony Karol. Co nas to obchodzi, ile tam jest pieniędzy, kiedy to nie nasze! Błagam cię Ludwiku, zaklinam cię, zwiń wszystko w papier tak, jak było i odnieś natychmiast!

E, głupstwo! przerwał gwałtownie Jerzy. Policzę wnet i będę przynajmniej wiedział, ileśmy już w życiu mieli w ręku!

Ale rozumie się, wszak niema w tem nic złego! dodał Ludwik, którego twarz coraz bardziej się rozpalała i coraz więcej iskrzyły się oczy. Przeliczmy!

On i Jerzy liczyli. Karol smutny, odwrócił się. Tysiąc... dwa tysiące... trzy tysiące .. cztery tysiące . pięć tysięcy... dwadzieścia tysięcy.

Dwadzieścia tysięcy! zawołał Ludwik. Ogromna suma! Czego by to za te pieniądze nie dostał! .. O, matko, biedna moja matko! .. Co za szczęście!... Dom, role, łąki, swobodne życie! Świetna przyszłość! O nieba!...

I to śmiało! bez najmniejszej obawy, doszepnął Jerzy. Nikt nie wie, żeśmy tę sumę znaleźli! Pójdziemy stąd i nikt o nas ani pomyśli ani wspomni! Jakto dobrze Ludwiku, żeś tej paczki nie otworzył w sali, ale dopiero tu.

Teraz się nie mamy czego obawiać! Podzielimy się, a jeszcze każdy z nas, będzie miał dość!

A gdybym ja wszystko dla siebie zatrzymał? zawołał zuchwale Ludwik. Wszak to ja znalazłem paczkę i jeżeli mi się podoba, mogę was puścić z kwitkiem!

Hola! tylko nie tak stanowczo! odparł szyderczo Jerzy. Albo na trzy równe części, albo ja wydam cały sekret! Nie nastraszysz nas Ludwiku! Prawie po siedm tysięcy wypada na każdego, można być śmiało i z tego zadowolonym!..

Ludwik zamilkł, wzrok opuścił na ziemię, a Jerzy podzielił tymczasem rzetelnie całą sumę na trzy równe części, z których jedną podsunął Karolowi, drugą Ludwikowi

Stało się... Pokusa była aż nadto silna, wyjawienie zaś wcale niemożebne, jeżeli tylko wszyscy trzej, dochowają tajemnicy. Nawet Karola sumienie zawahało się w tej chwili. Obraz świetnej przyszłości przyćmił je, zagłuszył, przytłumił na razie i osłabił serce. Wspomniał na matkę, na jej ubóstwo, troski, nędzę... i już miał sięgnąć ręką po pieniądze, gdy wtem nagle ozwał się silny głos pana Polstera, który rozgniewany, stojąc na dziedzińcu, zwrócony

do mieszkalnych pokoi, łajał kogoś surowo. Krzyk ten przeraził chłopców naszych bardzo, tak, że aż odskoczyli od stołu, przy którym stali, chociaż to się nie do nich odnosiło, gdyż wsłuchawszy się poznali, że to jakiś ze stróżów zasłużył sobie, swojem niedbalstwem na gniew gospodarza. W pokoiku było cicho, dobrze więc słyszeli groźbę pana Polstera:

Eh, bajki! nieprawda! kłamstwo! Gdybyś był dobrze uważał, byłoby tego nie było! Jaka praca, taka płaca! Znam ja cię już dobrze i wiem, żeś leniuch. Jeżeli mi się jeszcze raz coś podobnego wydarzy, nie masz miejsca u mnie. Rozumiesz?

»Jaka praca, taka płaca«!

Słowa te jak piorun uderzyły w serce Karola i przedarły od razu wszelkie ponętne rojenia wyobraźni, które mu zamgliły były sumienie. Stanął mu przed oczyma poczciwy staruszek Antoni, widział jego siwy włos, widział te oczy szczere i jasne, w których się objawiało jego serce, przypomniało mu się żywo zwalisko, a z niem i te upomnienia, które tamże pewnego dnia otrzymał od życzliwego leśniczego.

„Jeśli cię wabią źli chłopcy, nie usłuchaj ich“, krzyknął na głos i odsunął od siebie bez wahania, przeznaczoną dla niego cząstkę. Ach, Ludwiku, przypomnij sobie na naszego starego przyjaciela, leśniczego! Jakżebyśmy mogli spojrzeć mu śmiało w oczy, gdybyśmy się dali uwieść i ręce nasze prostą zmazali kradzieżą! Czy nie słyszałeś, jak dopiero co wyrzekł pan Polster słowa, które nam po tylekroć mawiał leśniczy: „jaka praca, taka płaca“! Nie, za łaską Boga nie dopuścimy się złego! Precz z grzechem, którego nagrodą byłaby hańba i zapóźny żal!

Ludwikowi trysnęły rzęsiste łzy z oczu, któremi zalany rzucił się gwałtownie w objęcia przyjaciela.

O, mój Boże! Przebacz mi tę chwilę pokusy! Dziękuję ci Karolu! Z głębi serca ci dziękuję! Tyś mię ocalił! Nie zwlekajmyż dłużej: zabieram pieniądze i oddam je natychmiast panu Polsterowi do przechowania!

Tego przecież nie uczynisz! rzekł Jerzy rozgniewany. Tego, co moje, już mi nie zechcesz wydzierać!

Przeciwnie! odparł Ludwik stanowczo. Ja znalazłem pieniądze i ja je muszę oddać. Ani

słowa Jerzy, daj tu pieniądze! Dość nam już sprawiłeś bolu twojemi chytremi przedstawieniami, które miały na celu, zaspokoić twą chciwość. Och, prawdę mówił stary leśniczy, że dobrze trzeba nad sobą czuwać, żeby się nie poddać pokusie! Proszę cię Jerzy, nie kuś nas już więcej! Pieniądze muszę oddać i to natychmiast.

Jerzy pienił się ze złości i wszystkie żądła rozpaczy i wściekłości ukłuły go najdotkliwiej właśnie teraz, kiedy się musiał rozstać z tem, co przez grzeszną chciwość, na pozór już, swoją uczynił własnością. Zgrzytał zębami, łajał, przeklinał, groził nawet, że się strasznie zemści, ale niczem już nie mógł swoich towarzyszów, odwieść od powziętego zamiaru, gdyż dobry duch, który był ich na chwilę opuścił, powrócił teraz całkowicie i na zawsze w ich serca. Ludwik zawinął banknoty i wszystkie inne papiery w ten sam papier, obwiązał tym samym sznurkiem i wyszukawszy pana Polstera, oddał mu paczkę z objaśnieniem, jakim sposobem przyszedł do niej

Ubogi, ale rzetelny! — rzekł tenże, kładąc z życzliwością rękę na ramieniu Ludwika. O ciebie się nie lękam! Ty w świe-

cie nie zginiesz. Paczkę przyjmuję. Dalsza sprawa jutro!

Po tych słowach, podał Ludwikowi serdecznie rękę, a chłopiec powrócił wesół z swobodnem obliczem i spokojnem sumieniem do swoich towarzyszów.

Już! rzekł. Dzięki Bogu, że nam użyczył sił, potrzebnych do zwyciężenia pokusy, nad którą dotąd, nie miałem silniejszej w mem życiu!

W godzinę później spali już dwaj chłopcy smacznie. Tylko Jerzy czuwał i przewracając się niespokojnie po swojem łożu, oddał się czarnym myślom i straszne knuł zamiary.

VI.

Dwie drogi.

Nazajutrz rano, około godziny dziewiątej, wszedł pan Polster do pomieszkania chłopców i po serdecznem »dzień dobry«, wezwał Ludwika i Karola, żeby się udali z nim do jego

pomieszkania, gdzie ich jacyś dwaj panowie oczekują.

Czegoż oni od nas chcą? zapytał Karol.

Mnie nie wolno zdradzać tajemnicy! odrzekł pan Polster z uśmiechem, ale pójdźcie, a dowiecie się sami. Chodźcież!

A Jerzy? Czy on nie pójdzie z nami, zapytał Ludwik, wskazując na swego towarzysza, który późno zasnąwszy, dotąd jeszcze spał smacznie.

Gospodarz domu potrząsnął głową w formie przeczenia i dodał: Żądają tylko was dwóch. Chodźcie za mną żwawo, bo się panowie zniecierpliwią!

Dłużej już nie zwlekali, lecz ciekawi celu, udali się za panem Polsterem, który ich wprowadził do jednego z gościnnych pokoi. Tu zastali jakiegoś nieznajomego pana w średnim wieku, z bladem, ale przyjemnem obliczem, w wykwintnym ubiorze i starego barona Finkensteina, który Karola przy wejściu, zwykłym serdecznym powitał uśmiechem i przywołał do siebie, podczas gdy Ludwika przedstawiono nieznajomemu panu, który mu się spokojnie i badawczo wpatrywał w oczy.

A więc to ty jesteś tym który znalazł moje pieniądze i oddał mi je natychmiast idąc za głosem sumienia? rzekł nareszcie poważnie.

Ach niestety! nie natychmiast, drogi panie! odrzekł Ludwik szczerze w sposób sobie właściwy. Te pieniądze były dla nas straszną pokusą, ale ostatecznie pomyślelismy, że byłoby to haniebnie, przywłaszczać, sobie cudzą rzecz, i dopiero wtedy oddaliśmy pieniądze. Ach, jak mi lekko było na sumieniu, kiedym już oddał pieniądze do rąk pana Polstera!

Bez walki nie masz zwycięstwa! odparł nieznajomy. Cieszy mię to bardzo, że się przyznajesz do tej pokusy, gdyż pokonanie jej tylko zaszczyt ci przynosi.

O, to nie mnie przynosi zaszczyt, rzekł Ludwik. Gdyby nie ten mój przyjaciel Karol, kto wie, czybym był znalazł w sobie dość siły, na odpędzenie pokusy; ale on mi właśnie w samą porę przypomniał, przestrogi i upomnienia naszego starego przyjaciela Antoniego, leśniczego z naszej wioski i wtedy poznałem, jak sobie mamy postąpić. „Jaka praca, taka płaca mawiał stary Antoni i oto, dlaczego oddaliśmy znalezione pieniądze.

Dobrzeście zrozumieli przysłowie! dodał nieznajomy z przyciskiem. Słuchaj synu! Przyrzekłem rzetelnemu oddawcy mojej zguby hojne wynagrodzenie i ono się tobie dostanie, lecz oprócz tego miałbym jeszcze coś więcej dla ciebie. Jestem bogaty ale bezdziedtny, mam w Nowym Jorku wielki dom handlowy i zostaję w ciągłych stosunkach z Europą. O tobie opowiedział mi już wszystko dokładnie pan Polster. Wiem, że jesteś ubogi i masz matkę, która ustawicznie walczy z nędzą i niedostatkiem. Jedź ze mną do Nowego Jorku a ja cię za Boską pomocą wyprowadzę na tęgiego człowieka; twojej zaś matce dam utrzymanie takie, że będzie mogła żyć bez wszelkich trosk. Namyśl się! Pojedziesz ze mną?

Ludwik spoglądał zakłopotany przed siebie. Nieznajomy pan podobałmu się i jego wniosek także, ale trudno było mu oswoić się z myślą, że może na zawsze, trzeba będzie pożegnać swoją ojczyznę.

Toć już nigdy nie miałbym oglądać biednej mojej matki? rzekł smutny. O nie, nie, zacny panie! Toby i dla niej i dla mnie było za przykre na całe życie!

Czyż nie słyszałeś, że zostaję w ciągłych stosunkach z Europą? odrzekł tamten uprzejmie i poważnie. Nie na zawsze porzucisz twoją

matkę Po dwu lub trzech latach będziesz się już mógł z nią widzieć, a później nawet co roku. Więc to nie na zawsze, a matka będzie szczęśliwa na samą myśl, że się tobie dobrze powodzi. Ja ci chcę otworzyć piękną przyszłość i tylko od ciebie samego będzie to zależało przyjąć lub odrzucić.

Tak jest, pan Barnet ma słusność, wtrącił pan Polster. Jaka praca, taka płaca! Nie namyślaj się długo Ludwiku! Wielkie ci się uśmiecha szczęście. Pan Barnet chce dać twej matce rocznie dwieście talarów, a kiedy jeszcze w dodatku przyrzeka, że ją częściej będziesz mógł odwiedzać, ręczę, że ona sama najchętniej się zgodzi na ten łaskawy wniosek.

Ludwik się zdziwił! Dwieście talarów rocznie dla matki!... O większem szczęściu dla niej, on sam doprawdy nigdy nie marzył. Chętnie przeto przyjął myśl pana Barneta, jednakże pod warunkiem, jeżeli się matka na nią zgodzi. Pan Barnet zaś oświadczył, że sam nawet odwiedzi natychmiast matkę, żeby uzyskać potrzebne zezwolenie, co Ludwikowi było bardzo na rękę, gdyż dało mu sposobność oglądania matki jeszcze przed odjazdem z Europy.

W czasie tych układów rozmawiał baron

Finkenstein z Karolem, a wynik tej rozmowy był ten, że go chciał na własne koszta oddać do pewnej sławnej szkoły muzycznej, żeby tam pod kierownictwem światłych nauczycieli rozwinął swoje zdolności, któremi go Pan Bóg tak hojnie uposażył. Poczciwy Karol przyjął wniosek barona z rozrzewnieniem, lecz rownież jak i Ludwik nie chciał swej matki zostawić w nędzy. Powtórzyło się tu kubek w kubek to samo, co z Ludwikiem; mianowicie przyrzekł baron wspierać matkę Karola tak, żeby jej na niczem nie zbywało, i odtąd uczuł się Karol szczęśliwym, że się będzie mógł na zawsze poświęcić muzyce. Następnie pomówili Ludwik i Karol ze sobą o swojem szczęściu, a pan Barnet z baronem zgodzili się na przejażdżkę w góry kruszcowe, żeby dać sposobność chłopcom pożegnać swe matki, od których mieli uzyskać pozwolenie. Nie posiadając się z radości powrócili do swego pokoju i opowiedzieli o swojem szczęściu Jerzemu, który się już był przebudził i ubrał. Ten wysłuchawszy z oburzeniem i widoczną zazdrością ich opowiadania, rzekł, gdy tamci skończyli:

No, no, idźcie sobie w służbę i niewolę! Ja zostaję przy mojej wolności i nie oddałbym

jej za złotą klatkę, która wam się rychło da we znaki. Czy nie lepiej byliście postąpili, gdybyście byli za wasze przysługi, zażądali odpowiedniego wynagrodzenia. To byłoby bardziej po koleżańsku, bo i jabym był coś przytem wskurał. Ale co was może obchodzić głupi Jerzy! Najlepiej dbać o siebie! Dobrze, dobrze! Wkrótce ja wam się odpłacę!

Chciwość i zazdrość zajątrzyły wrodzoną mu popędliwość do tego stopnia, że nie słuchając wcale rozumnych uwag swoich towarzyszów, obrzucał ich obelgami, czynił gorzkie wyrzuty, że go unieszczęśliwili oddaniem znalezionych pieniędzy a nareszcie wśród pogróżek, że się na nich srogo zemści wyszedł z pokoju. Bolało to bardzo Karola i Ludwika, że ich towarzysz tyle cierpi, a jeszcze bardziej to, że się z nimi prawdopodobnie w niezgodzie i nieporozumieniu rozstać zechce.

Wiesz, co Karolu? rzekł naraz Ludwik. Uspokoimy go w ten sposob, jeżeli mu większą część naszego zarobku oddamy. Potem pozna przynajmniej, naszą życzliwość i nie będzie nam może czynił wyrzutów.

Ja się z tem zgadzam zupełnie, odrzekł Karol z zadowoleniem, owszem gotów jestem

odstąpić mu całą moją cząstkę, bo mi biedaka serdecznie żal. Ale, cóż ja winien, że jego niespotkało takie szczęście, jak nas. Zgoda, Ludwiku, zgoda! Daj mu, ile chcesz; ja mu oddam nawet wszystko!

Dobrze! Oddam mu wszystko a w dodatku przebaczenie gorżkich wyrzutów, które nam czynił! odparł Ludwik i obaj podali sobie ręce na znak, iż się zgadzają na ten środek przejednania Jerzego.

Ciesząc sie już naprzód, że takim tanim sposobem okupią zgodę z Jerzym, wyczekiwali go niecierpliwie. Ale cały dzień przeminął i nadeszła noc, a Jerzy jeszcze niepowrócił, co ich mocno zaniepokoiło, więc opowiedzieli o tem panu Polsterowi, który im na to tak odpowiedział:

Nie troszczcie się o niego, ale idźcie spać. Znam Jerzego; dobry to ptaszek! Polata, pohula trochę, a skoro się umęczy, powróci niezawodnie!

Karol i Ludwik czekali jeszcze do północy, ale potem znużenie nie pozwoliło im już dłużej; udali się na spoczynek, zostawiwszy drzwi nie zamknięte, a w godzinę spali już twardo.

Pod tę właśnie porę słychać było jakieś ostrożne nieśmiałe kroki: ciemna postać przemknęła się przez dziedziniec, nareszcie znalazł się ten ktoś pod drzwiami, a widząc je otwarte, uśmiechnął się zlekka szyderczo.

Wybornie mi się wiedzie! szepnął do siebie złodziej. Jeszcze trochę ostrożności, żeby się nie przebudzili, i rzecz skończona!

Dwa kroki i już był w środku pokoju. Przy blasku księżyca, co wpadając przez okno całą jego postać oświecał, można było dokładnie poznać po bladych, chudych, zdziczałych rysach twarz Jerzego: on to był. Teraz właśnie wpatrywał się bojaźliwym wzrokiem w spokojne twarze swoich towarzyszów, a skoro się przekonał, że spią smacznie, skinął wesoło głową.

Spią, jak chomiki w zimie, mruknął sobie pod nosem, najlepsza pora... a więc do dzieła!

Cichutko przyszedł w skarpetkach, (gdyż obuwie zostawił na dworze), aż do stołka przy łóżku Ludwika stojącego, na którym leżały jego rzeczy, przeszukał kieszeni i coś z niej wyjął.

Jest i kluczyk! mruknął znowu. Głupcy! Nie schować dobrze klucza! Mogli się przecież spodziewać mojej zemsty!

Z kluczykiem w ręku przybliżył się do szafy, w której Ludwik chował wspólną kasę, otworzył ją ostrożnie, żeby odskakujący zamek nie obudził spiących, wyjął torebkę z pieniądzmi, schował i zamknął szafę; rzucił jeszcze raz zwycięzko szyderczym wzrokiem na spiących towarzyszów i opuścił pokoik cichutko przymknąwszy drzwi za sobą.

Doskonale! szepnął nieposiadając się z radości. Nim się obudzą ujdę już kawał po za Lipsk, a do domu nie powrócę, aż chyba po czterech tygodniach i nikt mię nie przekona, że to ja wziąłem pieniądze! Cha, cha, cha! Chciałbym widzieć ich twarze w chwili, gdy otworzywszy szafę znajdą ją próżną! Popamiętacie Jerzego.

Wśród takiej pogadanki z własnem sumieniem przebiegł schody i dziedziniec a wymknąwszy się na drogę, znikł między domami.

* * *

Zaświtało. Karol i Ludwik przebudzili się! ale jakież było ich zdziwienie, kiedy łóżko Jerzego ujrzeli nietknięte.

Jerzy nie przyszedł! zawołał przerażony Karol. Może mu się, broń Boże co złego stało!

Wątpie! odrzekł Ludwik spokojnie. Ot, nadąsał się trochę i chciał nam spłatać figla, myślał pewno, że się za nim stęsknimy. Ale cóż to? kluczyk w szafie! co to ma znaczyć? Wszakżeż pamiętam doskonale, żem go wczoraj z wieczora miał w kieszeni!

Widocznie mylisz się, rzekł Karol. Możeś jeszcze później chował co do szafy.

Nie, nie! Wiem dokładnie! Czułem go w kieszeni, rozbierając się do snu. Miałby Jerzy... ale nie, o tem nawet pomyśleć trudno!

Co takiego co Ludwiku? Co miałby Jerzy?

Chciałem powiedzieć: miałby Jerzy umknąć zabrawszy pieniądze? Ale tego nie przypuszczam. Byłaby to straszna i podła zemsta!

Niech Bóg nas uchowa od takiego podejrzenia! odparł Karol blednąc. Jakżeż można coś podobnego przypuszczać, choćby nawet na chwilkę? zajrzyj tylko do szały, a znajdziesz tam pewnie wszystko na swojem miejscu

Ludwik zerwał się na równe nogi i podskoczył ku szafie.

Oho, pożegnaj się z pieniądzmi! zawołał oburzony, Karolu ani śladu z pieniądzy!... Ktoby się był tego spodziewał! Piękna zemsta!... Podły... okradł nas!...

Karol zbladł jeszcze bardziej i w okamgnieniu podskoczył ku Ludwikowi, żeby się na własne oczy przekonać o kradzieży.

Prawda!... Myślałem, że żartujesz! zawołał urywanemi słowy posmutniały Karol, jak gdyby mu tchu brakło. Biedaczysko! Nigdy nie będzie miał spokojnego sumienia! Ach gdybyż on był o tem wiedział, żeśmy mu wszystkie pieniądze dać chcieli.

Stało się! odrzekł oburzony do najwyższego stopnia Ludwik. Ale nie długo się będzie cieszył swoimi pieniądzmi, kiedy tak niecnie postąpił. Idę natychmiast do policyi i doniosą o jego kradzieży!

Uspokój się Ludwiku! Nie czyń tego! zazawołał łagodnie lecz prędko Karol, przytrzymując z lekka kolegę. On już dość nieszczęśliwy; czyliż mamy jeszcze i jego matkę unieszczęśliwić? Owszem udajmy, żeśmy mu oddali dobrowolnie wszystkie nasze pieniądze, których nam już teraz nie trzeba i powiedzmy, że nas pożegnał o świtu, spiesząc się z powrotem do domu; bo tak byłoby się stało, gdyby nam był zaufał. Przebaczmy mu! Zapomnij o tym jego nieroztropnym kroku, przez wzgląd na biedną jego matkę.

Ludwik zgodził się na to, gdyż wzmianka o biednej matce poruszyła mu serce.

Niech i tak będzie! Przebaczmy! Zapomnijmy! Ale to mu na dobre nie wyjdzie; bo trudno przecież, żeby się za ten brzydki występek, miał spodziewać błogosławieństwa! Zresztą, dajmy już pokój temu, nie warto o tem więcej wspominać!

Kiedy się pan Polster dowiedział, że Jerzy opuścił już miasto, zabrawszy podarowane mu pieniądze, zdziwił się, że go nawet nie pożegnał. Jednakże nie wiele się tem gorszył, znając dobrze usposobienie jego, bardziej zaś unosił się nad wspaniałomyślnością Karola i Ludwika którzy swemu towarzyszowi brak powodzenia, tak hojnie umieli wynagrodzić. Więcej o Jerzym nie było wzmianki, tylko raz jeden, kiedy rozstawali się z Polsterem odjeżdżając do swoich matek. Wozy ruszyły i wkrótce zostawili za sobą Lipsk w nierównie większej oddali niż Jerzy, który ze skradzionemi pieniądzmi w przeciwnym podążył kierunku. Oni inną pojechali, a Jerzy inną poszedł drogą; czyja lepsza była pokaże przyszłość.

VII.

Po latach dziesięciu.

Czas mija niespostrzeżenie tak szybko, że długie nieraz lata chwilami się zdają, kiedy pomyślimy o nich.

Tak myślał pewien przystojny mężczyzna w sili wieku, który w dziesięć lat po opisanych zdarzeniach w bramy Lipska wjeżdżając, zamyślonym wzrokiem przypatrywał się tłumom ludności, zapełniającej ulice i place. Był to właśnie czas, znanego nam jarmarku Taki sam ruch i gwar jak przed dziesięciu laty, panował i teraz w całem mieście; ale nie z taką już ciekawością, jak niegdyś owi trzej biedni muzycy, przypatrywał się dziś nasz podróżny, tej hałaśliwej rzeszy i patrzył spokojnie.

Wtedy, a teraz!... wyrzekł półgłosem. Co za różnica! Wtedy jako ubogi chłopiec, grajek, a dziś... Mój Boże! Jakże szczodry byłeś dla mnie w ciągu tych lat dziesięciu! Jak hojną czarę błogosławieństwa wylałeś na ścieżkę mo-

jego żywota!... Czy i oni tacy szczęśliwi i zadowoleni, jak ja!... Czy ja ich kiedy obaczę!... Matka moja staruszka nic mi, o nich nie umiała powiedzieć, ich matki i poczciwy leśniczy Antoni dawno już się z ziemi przenieśli do nieba, a o nich samych, ani słychu. Chyba cudem jakim moglibyśmy się spotkać, a przecież ileżto cudów dzieje się na świecie! Czekać, trzeba i nie tracić nadziei!...

Rozmowę tę, a raczej dumanie przerwał woźnica pocztowy pytaniem, do którego hotelu ma zajechać.

Do bawarskiego! brzmiała odpowiedź. A czy pan Polster jeszcze żyje?

A.. żyje, zdrów i zawsze jednako wesół.

Dobrze! Pędź żwawo! Może, tu zniżył głos podróżny, może się od niego dowiem o tem, czego pragnie moje serce!

Wóz potoczył się szybko i zajechał w bramę bawarskiego hotelu, gdzie już naprzód był zapowiedziany przyjazd jakiegoś znaczniejszego gościa, gdyż i pokój i służba były w pogotowiu.

Chciałbym się natychmiast widzieć z panem Polsterem, rzekł podróżny do kelnera. W jakie dziesięć minut wszedł właściciel ho-

telu, któremu on się przypatrywał z uśmiechem, lecz oraz i z pewnem wzruszeniem.

Więc pan mnie nie poznaje? zapytał.

Nie, rzeczywiście, nie mam przyjemności mój panie, odparł Polster zakłopotany. A czy śmiałbym zapytać...?

A więc Pan zapomniał, widocznie zapomniał! To dziwna! Czy to tak trudno poznać jednego ze swoich trzech grajków?

Polster wpatrzył się badawczo, aż mu się oczy zaiskrzyły i rzekł. To być nie może! Pan? Pan miałbyś być jednym z owych trzech chłopców! To nie do uwierzenia! Pan żartuje, to żarty!

Nie żarty mój panie, ale święta prawda! odrzekł podróżny i podał mu rękę. Niedyś mały grajek Ludwik, dziś Ludwik Barnet zarządca domu handlowego „Barnet i Spółka“ w Nowym Jorku!

Na te słowa przeszły przez serce Polstera uczucia zdziwienia i radości, wstrząsnął więc podaną mu rękę serdecznie, nie szczędząc przy tem najszczerszych życzeń pomyślności. Natychmiast opowiedział pan Ludwik Barnet w krótkości o szczęśliwem swem dziesięcioleciu i zapytał o swoich dawnych kolegów,

których los (jak twierdził) bardzo go obchodzi. Pan Polster jednakże, nie umiał mu na to pytanie, dać zadowalającej odpowiedzi.

O Jerzym nic wcale nie słyszałem, odrzekł, od czasu jakeśmy się tu wszyscy rozstali, a o Karolu wiem tylko tyle, że się przez kilka lat z najznakomitszymi postępami uczył, na koszt starego barona, w muzycznym zakładzie. Baron Finkenstein umarł przed pięciu czy sześciu laty, ale czy swemu wychowankowi co zapisał lub innym jakim sposobem los mu zapewnił, o tem niewiem wcale. Od tego też czasu, nic a nic więcej nie słyszałem o Karolu.

To mię smuci, rzekł Ludwik. Chętnie byłbym z tym samym i tyle ukochanem towarzyszem mej młodości, podzielił się mojem szczęściem. a tu nie ma ani nadziei oglądania go, chyba kiedyś może, szczególniejszym zbiegiem zdarzeń.

Ludwik Barnet miał w Lipsku wiele bardzo ważnych spraw do załatwienia, którym kilka dni poświęcił. Nareszcie, kiedy się już czuł zmęczonym, chciał trochę wypocząć i zapytał pana Polstera gdzie i w jaki sposób mógłby najprzyjemniej przepędzić wieczór.

Toż pan nie wie, brzmiała odpowiędź, że wieczór mamy koncert, pewnego sławnego pianisty kompozytora? O Karolu Stalbergu musiał pan już przecież słyszeć!

O, słyszałem, nawet bardzo wiele. Sława jego, którą sobie zyskał w Paryżu i Londynie doszła także i do Nowego Jorku. Czy to on ma dziś dawać koncert?

Tak jest, mój panie! Przybył do Lipska dnia wczorajszego i właśnie mój dom spotkało to szczęście, mieć go swoim gościem! Najznakomitsi tutejsi artyści muzycy, składali mu dziś przed południem swoje uszanowanie. Panował formalny natłok, boć to i tęgi człowiek i sławny muzyk, ten Stalberg! Radziłbym panu szczerze nie opuścić dzisiejszego koncertu, tam pan niezawodnie najprzyjemniej spędzi wieczór!

Z największą przyjemnością pójdę! Ale bądź pan tak łaskaw, postarać się o bilet dla mnie.

Zdaje mi się, że to będzie trudno, ale dla pana musi się znaleść, chociażbym miał nawet sam o to prosić mego sławnego gościa.

Polster dotrzymał obietnicy. Na oznaczoną godzinę znalazł się bilet, z którym się Barnet udał na koncert. Przy wstępie taki był ścisk,

akie oblężenie kasy, że z wielką trudnością udało mu się przecisnąć na salę, gdzie znalazł swoje miejsce w pierwszym rzędzie. Po kilku chwilach, rozpoczęła koncert cała orkiestra piękną uwerturą, po której wyszedł sam Stalberg do fortepianu. Na długie i huczne oklaski, którymi go przywitano, odpowiedział skromnym ukłonem i usiadłszy przy fortepianie, przebiegł lekko palcami po klawiszach. Grobowa cisza zapanowała, zaraz po pierwszych akordach, Wszyscy byli grą zachwyceni, nawet Barnet, co nie jednego już w szerokim świecie słyszał koncertanta, zdziwił się, jakim sposobem można z żelaznych strun tak zdumiewająco słodkie wydobyć tony. Toż nic dziwnego, że jako znawca muzyki, do żywego był zaciekawiony osobą Stalberga. Wpatrywał się weń badawczym wzrokiem raz na jedną, to znowu na drugą przechylając się stronę. Lecz nie sama sztuka, zwróciła na koncertanta oczy Barneta. Z natężonego wzroku można było wyczytać, że mu artysta, pewno zkądś już dawniej był znany. Nie inaczej też było w istocie, Barnet poznał w Stalbergu kogoś bardzo miłego, gdyż nie mogąc w sobie utaić nadmiaru uczucia radości,

zawołał nawet, dobrze słyszalnym półgłosem: Karol! Mój Boże! To on? On rzeczywiście!...

Słowa te usłyszał zdaje się muzyk. gdyż podniósł oczy i spojrzał na Barneta. Teraz spotkały się oczy obydwu; artysta zbladł, ręce mu zadrżały, chwycił kilka fałszywych akordów, przerwał nareście ku wielkiemu zdziwieniu gości grę i podskoczył ku Barnetowi.

Ludwiku! Tyśto??

Karolu! Mój drogi!

Takie były ich pierwsze powitalne słowa po których rzucili się sobie w objęcia, zapomiawszy o gościach, koncercie, o całym świecie z nadmiaru szczęścia i niespodzianej radości.

Niezwykłej tej scenie przypatrywała się publiczność ze zdumieniem wprawdzie, ale całkiem spokojnie; każdy bowiem z gości domyślał się już, że to jakieś nadzwyczajne i niespodziane było spotkanie, aż nareszcie po dobrej pauzie Ludwik, opamiętawszy się, pierwszy szepnął przyjacielowi na ucho.

Karolu! Myśmy się zapomnieli! Po koncercie!... Teraz masz względem publiczności obowiązki! idźże do fortepianu!

Prawda, masz słuszność, jak zwykle! odrzekł Karol ze łzą w oku. Bądź spokojny, słuchaczom moim wynagrodzę tę małą przerwę.

Ach, co za szczęście, Ludwiku, grać przed tobą! do gości zaś, odskoczywszy zgrabnie ku sconie, rzekł: Szanowni Państwo zechcą mi tę przerwę przebaczyć! Porwało mię uczucie, któremu nie byłem zdolny oprzeć się, znalazłem bowiem niespodzianie przyjaciela, z którym się już od lat dziesięciu nie widziałem!

Brawo! brawo! zahuczało w sali w pośród silnych oklasków, brawo! Znakomity artysta i człowiek z sercem! Brawo! bravissimo!!!

Karol ukłonił się i rozpoczął napowrót przerwaną grę. Jak zaś grał, to chyba z tąd można osądzić, że słuchacze oddech tamowali słuchając, a kiedy nareszcie ostatnie przyspieszone silne uderzenia grę zakończyły, aż do grzmotu niemal wzmogły się oklaski. Karol je przyjął uprzejmie, ale nie o nich już teraz myślał, nie o swej grze, ni sławie, tylko o swoim przyjacielu, z którym też wnet opuściwszy salę, udał się do hotelu, gdzie go pan Polster już oczekiwał.

Wiem już o wszystkiem! rzekł nieposiadając się z radości. Byłem na koncercie: Szczęść Boże!

Dziękuję Panu! odrzekł uprzejmie Karol. A teraz prosimy do naszego pokoju: znajdzie się niejedna ciekawa nowinka!

Nigdy jeszcze nie przyjął pan Polster zaprosin tak chętnie i z taką przyjemnością, jak teraz. Wszyscy trzej więc udali się do pokoi zajętych przez sławnego muzyka, gdzie pokrzepiwszy się nieco, zaczęli się nawzajem rozpytywać o sobie.

Więc to ty, mój Karolku jesteś tym sławnym Karolem Stahlbergiem? rozpoczął Ludwik. A cóż cię spowodowało do zmiany nazwiska?

Krótko i węzłowato mówiąc, odparł zagadnięty, rzecz się tak miała. Jak ci wiadomo, dał mię opiekun, mój dobrodziej, zacny baron Finkenstein do Konserwatoryum*) muzycznego, gdzie się przez lat pięć gorliwie kształciłem. Pilny byłem bardzo, bom miał zawsze w pamięci przysłowie poczciwego Antoniego »Jaka praca, taka płaca«.

Ile sił starczyło, oddawałem się pracy, podczas której, doszła mię wiadomość smutna o śmierci nieodżałowanego mego opiekuna, który mi testamentem, przekazał posiadłość swoją

*) Wyższa szkoła muzyczna.

Stahlberg w Turyngii pod warunkiem, żebym przyjął to nazwisko. Wolę jego spełnić, poczytałem sobie za święty obowiązek; tak się też stało. W krótce potem i matka też moja pożegnała swiat, właśnie pod sam koniec akademickich moich studyów, po których, za radą moich profesorów rozpocząłem artystyczną wędrówkę, podróżą do Paryża. Tu mię spotkało przyjęcie i uznanie, na jakie wcale nawet nie zasłużyłem. Następnie zwiedziłem Londyn Petersburg, Wiedeń. W Berlinie nadał mi król szlachectwo, a publiczność obsypywała pochwałami i złotem. Teraz, powracam z Włoch, gdzie jak wszędzie nad zasługi moje byłem chwalony, wynoszony, uwielbiany i zamierzam zakończyć już publiczną moją karyerę. Włóczęga ta ustawiczna po świecie, już mię umęczyła. Syt jestem sławy i tęsknię już za jakiem zaciszem, gdziebym się mógł spokojnie poświęcić mojej sztuce. Pieniędzy więcej, mi już nie potrzeba, gdyż mam ich tyle że dla nas obu, aż nadto dość będzie, bo się niemi, rozumie się podzielimy, jak zwykle dzieliliśmy się wszystkiem w życiu.

O, dziękuję ci, mój Karolku! odparł żywo Ludwik, dziękuję serdecznie, ale nie mam zamiaru robić ci najmniejszego uszczerbku, gdyż

i o mnie szczęście nie zapomniało, a przysłowie »Jaka praca, taka płaca« i na mnie najzupełniej się sprawdziło. Słuchaj! Kiedym odjeżdżał z moim opiekunem Barnetem do Ameryki, obiecał i przyrzekł mi zaraz na wstępie, wziąść mię za syna, jeżeli nie zawiodę jego oczekiwania. Wziąłem to sobie do serca. Obowiązki moje wypełniałem najsumienniej, czem sobie na miłość i zaufanie tego zacnego męża zasłużyłem. Przed dwoma laty, przyjął mię do spółki, przybrał za syna, przeniósł na mnie swoje godne nazwisko wraz z całem mieniem, a w rok potem umarł na mojem ręku. »Niech cię Bóg błogosławi mój synu, byłeś prawdziwą osłodą mojego żywota, obyś trzymał się zawsze twego przysłowia »Jaka praca, taka płaca«, były ostatnie jego słowa. Zgon jego, napełnił mi serce takim smutkiem, że go nic nie zdołało ukoić, ani nawet ogromny spadek, który mi zostawił. Bez niego była Ameryka dla mnie pustą i nudną. Pokończyłem więc bieżące sprawy, nowych nie zawiązywałem, zebrałem moje bogactwa i powróciłem właśnie teraz do Niemiec, żeby jeszcze tu także pozałatwiać resztę, matkę moją zabrać do siebie, odszukać mego Karolka i zamieszkać gdzieś spokojny kącik

w własnej ojczyznie. Matka już przy mnie, ciebie mi niebo wróciło, a ostatnie się znajdzie przecież. Zostaniemy odtąd razem, żeby się znowu gdzie nie zagubić w świecie, dopóki Bóg pozwoli, nieprawdaż Karolku?!

Zgoda! całem sercem i na wszystko zgoda! odrzekł promieniejący z radości Karol. Ale jeszcze jedno pytanie: nie wiesz co się z Jerzym stało? gdzie on się podział?

Nie wiem! Znikł bez śladu! Niech mu się jak najlepiej powodzi, ja mu niczego już nie pamiętam.

O tem ani mowy. Ale owszem ja bym mu rad czem dopomódz, dodał Karol. Zresztą, nie mąćmy naszego szczęścia dziś przynajmniej, tak smutnem przypomnieniem.

Do późnej nocy przesiedzieli obaj przyjaciele wśród słodkich wynurzeń i opowiadań o wspólnych losach. Nazajutrz zaś wybrali się do miasta, żeby nakupić rozmaitych podarków dla matki Ludwika, którą mieli wkrótce odwiedzieć. Tymczesem, podczas tej przechadzki po mieści, spotkała ich nowa niespodzianka. Przechodzili właśnie przez plac, gdzie pod gołem niebem rozmaite sprzedawano towary, jak zwykle w czasie lipskiego jarmarku. Wtem wzrok

Ludwika zatrzymał się przy jednym stole, na którym mnóstwo pięknych, drobnych wyrobów koszykarskich się znajdowało. Przy nich siedział jakiś wynędzniały, zbiedzony mężczyzna, snać ich właściciel, w nędzne i podarte ubrany odzienie.

Kupmy co u tego biedaka, bo mi go szczerze żal, a piękne ma rzeczy, zagadnął Karol.

Przystąpili bliżej, koszykarz powstał, ukłonił się uprzejmie, lecz zaraz zbladł i postąpił o krok w tył.

Co wam się stało? Czy wam co niedobrze? zapytał Karol, z wyrazem ubolewania.

Koszykarz zakrył twarz dłońmi, a pomiędzy palcami spłynęły obfite łzy.

Mój Boże! Co za przeczucie! zawołał Ludwik. Czy to być może? Jerzy, czy to ty jesteś?

Jerzy? wykrzyknął też i Karol. W tak opłakanym stanie? Mów, czy się nie mylimy?

Nie, panowie się nie mylicie wcale! odrzekł biedny koszykarz, przytłumionym głosem. Ja jestem tym Jerzym, złodziejem, niecnotą, nieszczęsnym, co was oszukał i okradł. Ale kara mię nie minęła! Los na mnie zemścił się

srogo! Żałowałem gorżko, ale za późno i to mię najbardziej boli! Postąpcie ze mną, jak się wam podoba, nie zaprę się niczego!

Dość, dość już tego! przerwał szybko Karol. Chodź z nami do naszego pomieszkania; na szczęście nie daleko ono ztąd.

Po tych słowach wziął Jerzego za jedno ramię, Ludwik za drugie i tak poprowadzili go, chociaż się wzbraniał iść, ze sobą do hotelu.

Teraz mów! rzekł Ludwik. Ulżyj sercu! Sprzyjamy ci dziś, jak niegdyś.

Karol dodał mu także otuchy, ale długo nie mógł Jerzy wymówić słowa, zanosząc się od łkania i żalu. Nareszcie, widząc łagodność dawnych swoich życzliwych przyjaciół, uspokoił się i rzekł:

Więc wam opowiem wszystko, niczego nie tając. Może to szczere wyznanie ulży memu sumieniu. Okradłem was, ale zbrodnia nie przyniosła mi błogosławieństwa. Przez kilka tygodni błąkałem się, wyrzutami sumienia trapiony, po świecie, nie chcąc powrócić do domu z obawy, żeście wy, może całą rzecz odkryli. Nareszcie, coś mię gwałtem ciągnęło do matki. Przychodzę i zastaję ją konającą; ale o mojej zbrodni nie wiedziała, gdyż wspaniałomyślność wasza

kazała wam, o niej przemilczeć. Dziś jeszcze dziękuję Bogu, że umarła, nie domyślając się nawet o tem, jakiego ma niecnotę syna. Po jej śmierci nie mogłem się utrzymać w domu. Nikt wprawdzie nie wiedział o moim szkaradnym postępku, ale dziwny jakiś ogień palił mi serce. Opuściłem wieś i jak włóczęga, łaziłem po świecie, dopóki nie przetrwoniłem ostatniego szeląga z skradzionej sumy. Teraz zeszedłem na żebraka, a żal niewczesny dobił mię do reszty. Gdybym był przynajmniej roztropnie użył tych pieniędzy, możebym przecież, zapewnił sobie byt w jakim zakątku ziemi, jako koszykarz. Próbowałem nawet tego dwa, czy też trzy razy, ale nie miałem powodzenia; na skradzionych pieniądzach brakło błogosławieństwa. Straciłem tedy wszystko, tylko wyrzuty sumienia zostały przy mnie. Chodziłem jakiś czas o żebranym chlebie, ale i to długo nie trwało, gdyż policya czujna zamknęła mię kilka razy. Wreszcie zmieniło się nieco w moim losie na lepsze. Zemdlały od głodu, przychodzę jednego razu do pewnej miejscowości i zastaję przed drzwiami ubogiej chatki staruszka, koszykarza przy robocie. Prosiłem, żeby mi wolno było u niego zarobić sobie kawałeczek chleba. Poczciwy starowina

zlitował się i podzielił ze mną skąpy swój obiad, za co mu kilka rzeczy uplotłem. Moja robota podobała mu się snać, gdyż pozwolił mi u siebie zostać i zostałem. W kilka lat on umarł, a ja prowadziłem rzemiosło na własną rękę, gdyż mi nikt nie przeszkadzał. Na życie mi zawsze wystarcza, ale z wygodami i rozkoszą, dawno się już pożegnałem na zawsze. Przy nędznym utrzymaniu, pozostał tylko silny ból i żal, który mi pożerał serce i dziś nie zliczyłbym już nawet, ile razy wspominałem słowa starego leśniczego: »Jaka praca, taka płaca«, któremi mię często ostrzegał, a które najświętszą zawierają prawdę. Mnie się źle powodzi, bo uczynki moje były złe, wam zaś, poznaję to już po wszystkiem, wam Bóg pobłogosławił, boście żyli uczciwie, rzetelnie i sprawiedliwie, podczas gdy ja, uległem pokusie! Każdy z nas wyspał się tak, jak sobie posłał. A teraz, odpuście mi moje grzechy! Bóg widzi, ile lat gorzko pokutowałem!

Tu skończył, a rzęsiste łzy spłynęły mu znowu z oczu. Na to rzekł Karol do głębi wzruszony;

Skrucha maże winy, a myśmy ci jeszcze wtedy przebaczyli, skorośmy się o twoim po-

stępku dowiedzieli. Uspokój się, Jerzy! Długie lata rzetelnej pracy, gładzą plamy na twojej przeszłości, a Ojciec Niebieski pewnie tak szczerze ci przebaczył, jak i my. On to nas, On niezawodnie, zaprowadził do ciebie. On, który nam tak pobłogosławił, będzie odtąd i dla ciebie łaskawy! Ludwiku! — tu spojrzał znacząco na przyjaciela, ty się zgadzasz na wszystko?!

Najchętniej, odrzekł wzruszony Ludwik. Skrucha maże winy! Bóg cię ukarał i upokorzył, Jerzy! Szkołę poprawy przeszedłeś już, nadal zaś wiem i widzę to już pewnie, pójdziesz drogą prawą. O dom dla ciebie, o zagospodarowanie i warsztat, postaramy się obaj z Karolem, reszta od ciebie zależy.

* * *

Stało się, jak mówił Ludwik. Obaj z Karolem kupili Jerzemu dom w Lipsku, urządzili pracownię i dali mu potrzebną sumę pieniędzy na rozpoczęcie rzemiosła.

Od tego czasu upłynęło znowu trzy lata, Karol z Ludwikiem żyją razem, oddani sztuce i naukom, Jerzy zaś jest pilnym i rzetelnym rzemieślnikiem, któremu liczna czeladź mnoży

dobytek. Jego piękne koszykarskie wyroby są daleko znane i poszukiwane. Przyjaciele o nim pamiętają i odwiedzają go rok rocznie, ciesząc się wytrwałą jego pilnością, a uśmiechają się nawzajem, przy spotkaniu w pracowni, gdzie na ścianie, może każdy widzieć zawieszoną tablicę, na której dużemi głoskami wypisano: »Jaka praca, taka płaca«!

KONIEC.

Z BIBLIOTEKI DLA MŁODZIEŻY

wyszły następujące tomiki:

I. Sierota przekład **B. Dunina**
II. Przemytnik **B. Dunina**
III. Hrabia i Niedźwiedziarz **Pauliny Wilkońskiej**
IV. Nieopuszczaj kraju rodzinnego **B. Dunina**
V. Kochaj bliźniego swego „
VI. Wuj i siostrzeniec **St. Kunasiewicza**
VII. Nemeziz
VIII. Głos Pana nad Pany
IX. Boże narodzenie **B. Dunina**
X. Plebanja **St. Kunasiewicza**
XI. W Karroo „
XII. Ten co po nad obłokami **St. Kunasiewicza**
XIII. Ciężka próba **R. Starkla**
XIV. Do czego za młodu nawykniesz, na starość jak znajdziesz **L. Antonowicza**
XV. Praca a złoto **St. Kunasiewicza**
XVI. Jaka praca, taka płaca **Juliana Topora**
XVII. Srebrnik **Roberta Riszki**
XVIII. W pobliżu bieguna **Dr. Lubary**
XIX. Pracuj a Bóg ci dopomoże **Romualda Starkla**
XX. Ze szwedzkich czasów **R. Riszki**
XXI. Popiel i Piast opowiadanie napisała **Leonia**
XXII. Mieczysław I. opowiadanie histor. **J. Poeche**

Cena tomiku w karton. . 1 K. — gr.
„ „ oprawne w płótno 1 „ 20 „.

Hoffman W. Obrazki z życia zwierząt Serya I. i II. z 6 obrazkami kolor. po 2 korony.